

428

1870.1.17

428

428

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.

8

O ADAMIE ŻEROMSKIM

BIBLIOTEKA I KASOWNICZNA
IMI. LEONA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu

PISMA STEFANA ŻEROMSKIEGO

- ARYMAN MŚCI SIĘ — GODZINA. Wydanie III. 1923.
BIAŁA RĘKAWICZKA. Sztuka w 3-ch aktach z prologiem i epilogiem. 1921.
BICZE Z PIASKU. (Początek Świata Pracy. Organizacja inteligencji zawodowej. Drożynna i Zamoyszczyzna. Nowa Warszawa). 1925.
DLA MŁODZIEŻY. Książka pierwsza. 1921.
DLA MŁODZIEŻY. Książka druga. 1921.
DUMA O HETMANIE. Wydanie V. 1923.
DZIEJE GRZECZU. Powieść w 2 tomach. Wydanie VI. 1924.
ECHA LEŚNE. Warszawa 1920.
INTER ARMA. Warszawa 1920.
LUDZIE BEZDOMNI. Powieść w 2 tomach. Wydanie V. 1923.
MIĘDZYMORZE. Warszawa 1923.
MOGIŁA. Warszawa. 1923.
OPOWIADANIA. (Doktór Piotr. — Cokolwiek się zdarzy. — Ananke. — Zmierzch. — Złe przecucie. — Po Sedanie. — Zapomnienie. — Pokusa. — Siłaczka. — Oko za oko. — Niedziela). Wydanie V. 1923.
O PRZYSZŁOŚĆ RAPPERSWILU. Kraków 1912.
ORGANIZACJA INTELEGENCYI ZAWODOWEJ. Warszawa 1919.
POCZĄTEK ŚWIATA PRACY. Kraków 1919.
POMYŁKI. Warszawa. 1923.
PONAD ŚNIEG BIELSZYM SIĘ STANĘ. Warszawa. 1920.
POPIOŁY. Powieść z końca XVIII. i początku XIX. w. w 3-ch tomach. Wydanie VI. 1925.
POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU. Wydanie III. 1923.
PROJEKT AKADEMII LITERATURY POLSKIEJ. Wyd. II. Warszawa 1925.
PROMIEN. Powieść. Wydanie IV. 1923.
PRZEDWIOŚNIE. Powieść. Warszawa. 1925.
PUSZCZA JODŁOWA. Warszawa 1926.
ROZDZIÓBIA NAS KRUKI, WRONY. Wydanie IV. 1923.
RÓŻA. Dramat niesceniczny. Wydanie IV. 1923.
SEN O SZPADZIE. Kraków. 1914.
SEN O SZPADZIE I SEN O CHLEBIE. Warszawa 1923.
SIŁACZKA. — NA POKŁADZIE. (B. U. L. Nr. 5). 1907.
SŁOWO O BANDOSIE. Wydanie II. 1920.
SNOBIZM I POSTĘP. Warszawa. 1923.
SUŁKOWSKI. Tragedja. Wydanie IV. 1923.
SYZYFOWE PRACE. Powieść. Wydanie VI. 1924.
TUROŃ. Dramat w 3-ch aktach. Warszawa. 1923.
UCIEKŁA MI PRZEBIÓRECZKA... Komedia. Wydanie II. Warszawa. 1925.
URODA ŻYCIĄ. Powieść w 2 tomach. Wydanie III. 1925.
UTWORY POWIEŚCIOWE. (Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku — Tabu. — Cienie. — Kara. — Legenda o bracie leśnym). Wydanie V. 1923.
WALKA Z SZATANEM. I. NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. II. ZAMIEĆ. Powieść. 1921.
WALKA Z SZATANEM. III. CHARITAS. Powieść. 1921.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya Pierwsza. (Tabu. — Ananke. — Doktor Piotr. — Siłaczka. — Kara). 1925.
WCZORAJ I DZIŚ. Serya Druga. (Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. — Na pokładzie. — O żołnierzu tułaczku). 1925.
WIATR OD MORZA. Wydanie III. Warszawa. 1922.
WIERNĄ RZĘKĄ. Klechda domowa. Wydanie IV. 1925.
WISEŁA. Wydanie II. Warszawa. 1920.
WSZYSTKO I NIC. Wydanie II. Warszawa 1923.
ZMIERZCH. — COKOLWIEK SIĘ ZDARZY. (B. U. L. Nr. 41). 1907.

STEFAN ŻEROMSKI

O ADAMIE ŻEROMSKIM
WSPOMNIENIE



BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ŁAMCZYŃSKIEGO
w Zamosciu

MCMXXVI
WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
TOWARZYSTWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Przedruki, nieuprawnione przez autora, wzbronione.
Wszelkie prawa autorskie co do tłumaczeń i przeróbek zastrzeżone.
Copyright by J. Mortkowicz, nineteen hundred twenty six.

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

428

2872 *

929

Zer

W Zamościu

221.162.1(084) 18

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej

Adom

S

Księgozbiór BP



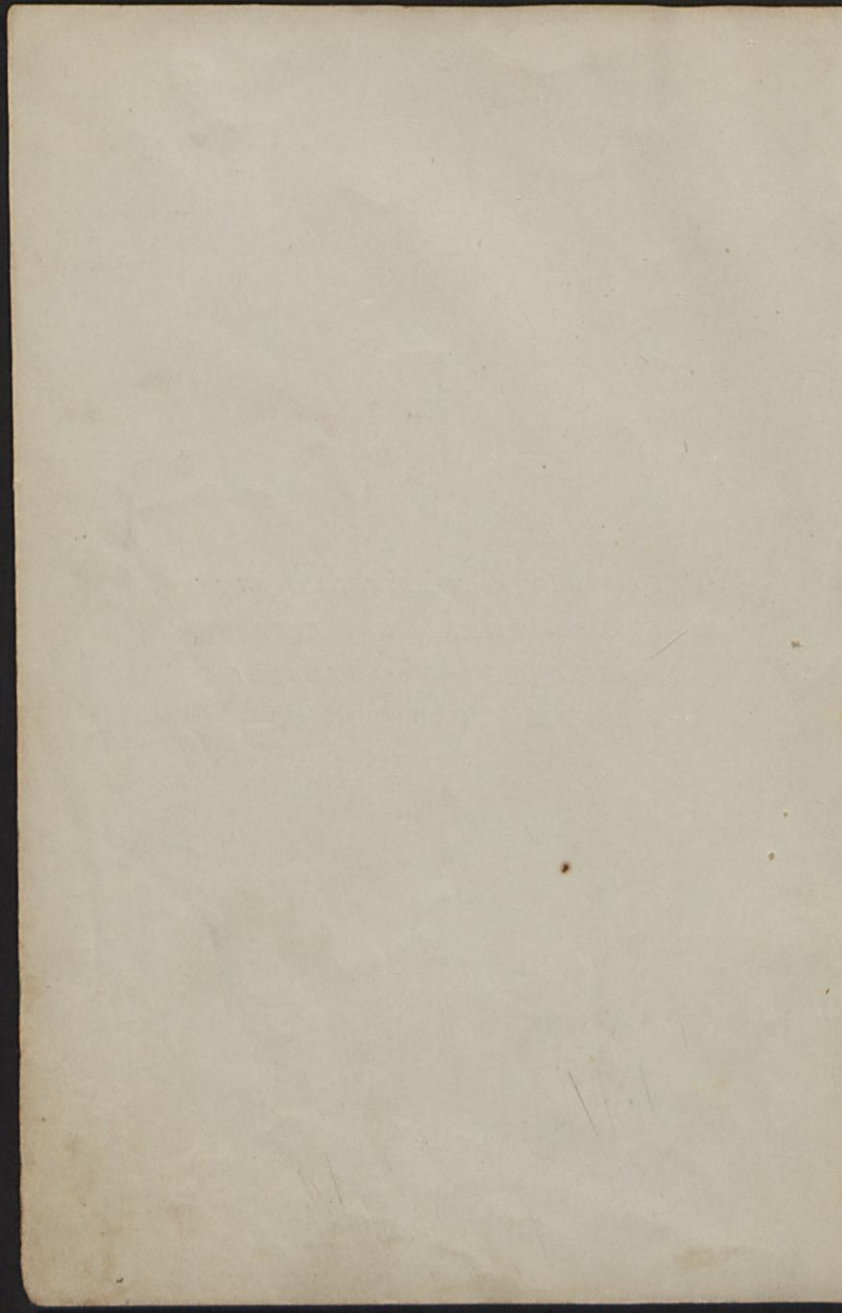
10085059

Zamosc ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

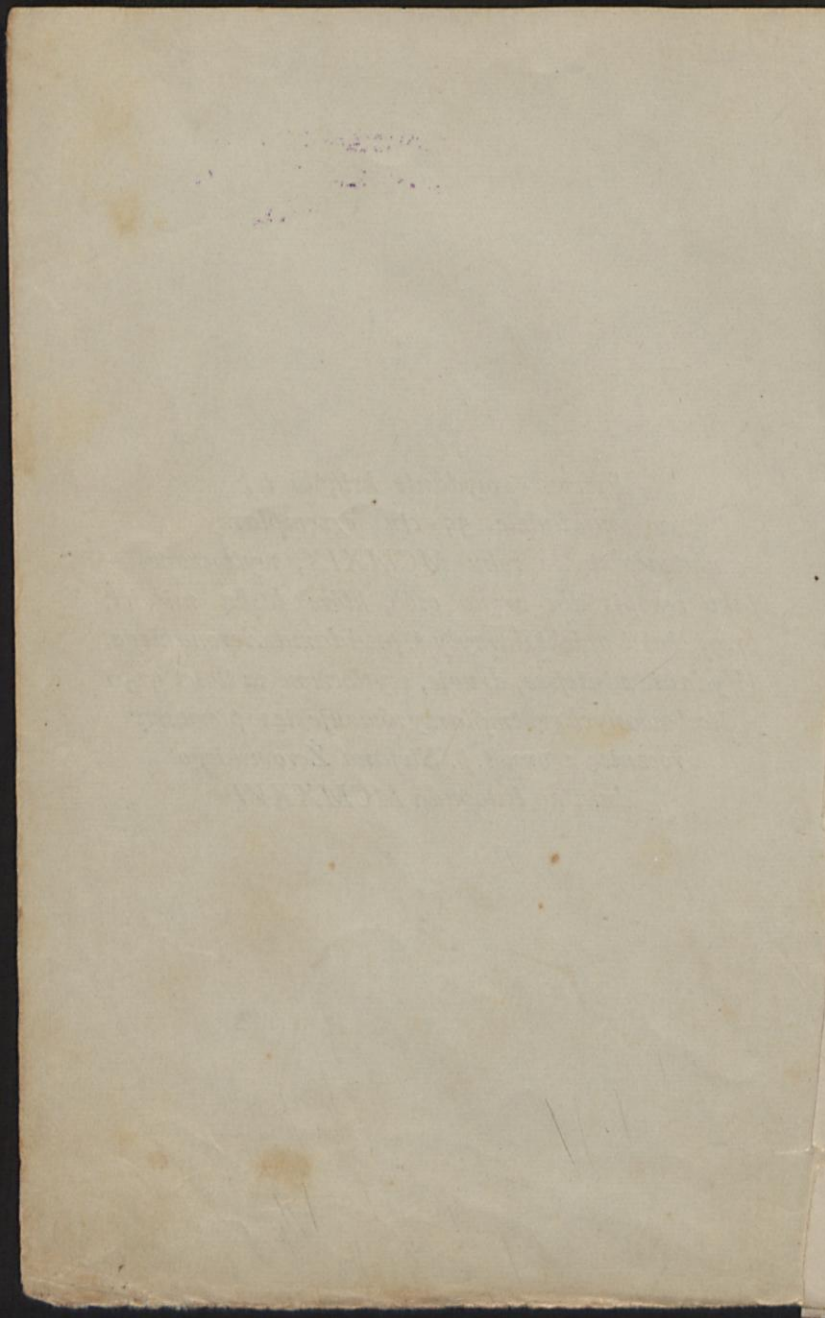
KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

14141 P

CAŁKOWITY WPŁYW ZE SPRZEDAŻY KSIĄŻKI
NINIEJSZEJ PRZEZNACZONY JEST NA
FUNDUSZ UCZCZENIA PAMIĘCI
STEFANA ŻEROMSKIEGO



*Pierwsze wydanie książki tej
w nakładzie 55 - ciu egzemplarzy
ukazało się w roku MCMXIX, wytłoczone
jako rękopis dla grona osób, które łaską miłości,
przyjaźni i opieki darzyły ś. p. Adama Żeromskiego.
Wydanie niniejsze, drugie, wytłoczone w ilości 5250
liczbowanych egzemplarzy ukazuje się w pierwszą
rocznicę zgonu ś. p. Stefana Żeromskiego
dnia 20 listopada MCMXXVI*



Dawno już, dawno, przed wieloma laty, wybrał się Adaś, dwuletni chłopczyk, ochoczo na spacer, prowadzony za rękę przez swą niańkę, zażywną i zdrową dziewczynę z pod Radomia. Szybko zbiegły jego małe nogi z krętych schodów w skrzydle starego «Błękitnego» pałacu. Umiał już sam otwierać skrzypiące, bynajmniej nie pałacowe, drzwi i «uciekać z piętami», gdy z trzaskiem nagle «waliły», popychane przez mechaniczny przyrząd do zamykania. Minął chodniczek z siwych i czarnych kostek marmuru, biegnący obok gmachu biblioteki i miał wejść w sklepioną bramę, która prowadziła na szeroki, widny, brukowany dziedziniec, gdy oto spotkał się z ojcem. Ojciec nie rad był, gdy tam synus przechadzał się po hrabiowskim skwerze, przed lustrzanymi drzwiami magnackiej siedziby. Chciał zawrócić niańkę i małego spacerowicza. Ale chłopczek uparł się, żeby przez tę bramę wędrować koniecznie. Coś tam miał specjalnie swego, co radowało, cieszyło, ciągnęło. Gdy ojciec nie po-

zwał, wielkie łzy potoczyły się z jasnych oczu, wielkie jak perły uryańskie. Biegły po różanych policzkach, po bródce, zabarwionej od chłodu. Żrenice proszące, żalosne podniosły się wysoko, aż do twardego ojcowskiego spojrzenia. Któżby się był oparł tym szczerym łzom, któżby zdołał ból zadać temu sercu? Gdy zdjęty został zakaz przekroczenia ulubionej bramy, małe piąstki poczęły forsownie wycierać krople, jeszcze z rzęs zwisające i chyże stopy pomknęły na radosny dziedziniec. Tak oto do swego radosnego dziedzińca wiecześnie biegnie nowe życie, nie wiedząc, czemu tę bramę wybiera za ulubioną. Tak oto rogatka bezsilnej ojcowskiej miłości nie umie, ani iść w płasach radosnych z nowem życiem popołu, ani powstrzymać na granicy swego okręgu...



Na południowem zboczu «Góry Armatniej» dobrze się wiodło starym, szeroko rozsiadłym drzewom. Sosny, wejmuty, świerki, klony i akacje strzelały z tłustej ziemi wysoko i nad wyraz szybko. Grube pnie czereśni zastawiły sobą dostatnią niegdyś uliczkę, czyniąc ją wąskim w ogrodzie przesmykiem. Kora ich pęka, skręca się i zwisa, a obfite, smoliste obary kapią w rany szczelin stężaleni kroplami. Bujne gałęzie roz-

padają się na wszystkie strony, a rubinowy owoc obsypuje istne kopuły z prętów i witek. Orzechy włoskie rozrosły się w wielkie drzewa. Woniejące ich liście rozpostarły się po grzędach malin i bujają po za wykrzywionym parkanem, zdumiewając przechodnia wielkimi gruzłami o nieznanej, a tak smakowitej zawartości. Tam to wygrzewała się na słońcu stara winnica, z czterech krzewów rozrośnięta, tuląc w obfite liście swe trwożliwe grona przed przymrozkami października. Dorodne śliwki nadmiarem urodzaju poodłamywały od pniów najbardziej płodne gałęzie. Wielkie, zimowe jabłka wysysają całoletnie słońce w swe zimowe kule, ażeby nadać im pod jesień zachwycającą barwę zdrowego dziecięcego policzka, a wyborowe, małe gruszki żółkną przed wrześniem i bezsilnie padają w wysoką trawę. To obeschłe przed niezmiernością czasów dno morza, namuł wielometrowej grubości, zawierający w sobie mnóstwo muszelek i szkieletów zmarłego świata, zwiewna lubelska glina, nie skalana ani jednym zewnętrznym kamieniem i jedynie kędyś w głębiach swych kryjąca żyły złotolitego piasku, hoduje te wyniosłe, bujne, obfitolistne drzewa. Poprzerzynana parowami i rozdołami, sfałdowana przez okrągłe i garbate pagórki, pełna drzew, krzewów, zbóż i traw, rozkłada się w dal płaskowzgórzami

od nałęczowskiej doliny, którą wyorało przedwieczne wiśliko.

Na szczycie «Góry Armatniej» i w najwyższym kącie ogrodu wybujała kępa drzew dzikich — wielka, białolistna topola, sokora «białodrzew», wysmukłe akacye, lipy. Ten bujny ogród przemierzały bystre nóżki małego chłopczyka. Tajemniczy to był dla niego raj. Przywieziony wczesną wiosną z ciasnego w mieście mieszkania, znalazłszy się w tym ziemskim raju, zatapiał się weń, jakoby w dziką puszcę. Podziwiał cudne jabłonie, od pniów do wierzchołka okryte białym, z lekka różowiejącym kwiatem, — grube, rozsiadłe czereśnie, które wyciągały doń swe ogromne gałęzie, jakby częstując uprzejmie zielonemi kulami zawiązków owocu, — zielony i włochaty agrest, twardy jeszcze, jak kamień, przezierający z pomiędzy prętów i liści. Czarodziejsko śpiewały wówczas wilgi, wołając małe uszko, to tu, to tam, wzywając małe oczy ku górze, to w tę, to w inną stronę, niby kapryśny a przekorny duszek drzewny, który się zabawia kłopotami maciupieńkiego mieszczucha, cudzoziemca w tych zawikłanych uliczkach. Zarośnięte uliczki prowadziły w górę a w górę, aż do omszałych zrzynów sędziwego płotu, aż do owych groźnie szumiących drzew, — wieloletniej sokory, śmigłych akacyi i lip. Ciekawy nosek

wścibiał się w szpary między dranicami płotu i oczy chciwie zaglądały, badając, co też to tam jest, za owym wysokaśnym, nieprzebytym parkanem. Nic szczególnego nie było: kilka drzew owocowych dumало wśród żyta, płowiejącego na słońcu. Jak okiem sięgnąć po pagórkach i równinie słały się zboża. Błękitny las za Cynkowem zniżał się w czarującą, zieloną dolinę, na przeciwnym wzgórzu białął kościół, wychylający się z bujnych, skłębionych, starych drzew cmentarza.

Z bujnych, skłębionych, starych drzew cmentarza...

Nad falującymi zbożami rozpostarte było wiosenne niebo, w którym płynęły obłoczki białe, przejrzyste, gremplowane przez ciepły wiatr w pasemka wełny niebiańskiej. Skowronki śpiewały wpośród tych chmur i w nieskalanych niebiosach radosne pieśni.

Wtedy to właśnie mały Adaś przeżywał «Najpiękniejszy dzień swego życia». Ogarnięty przez nieznamy świat drzew i roślin, owoców i kwiatów, zapachów i poszumów, przez pieśni ptasie i widok przestworu, pociągany z miejsca na miejsce przez niewiadome pragnienie dali i ruchu stawał się nie samym sobą, rzeczywistym, posłusznym, cichym chłopczykiem, — nad miarę cichym i nad

miarę posłusznym, — dzieckiem, w którym krążyła krew i biło serce, — lecz jego łakomy po dziecięcemu i po dziecięcemu trawiący organizm przeistaczał się w coś innego, w coś odmiennego zgoła od samego siebie. Był-li wietrzykiem, który składa i rozkłada liście na niedościgłym białodrzewie, raz białą, raz ciemną stroną, każdą sprawiedliwie wystawiając ku słońcu, — powiewem, nachylającym zboża i nosicielem daleko — daleko zapachów rezedy z rabat przed domem, — śpiewem skowronka w niebiesiech i wilgi w gałęziach gęstych czereśni, — obłoczkiem co, jak złoto-biały cherubin, płynął ze złożonymi skrzydłami nad nałęczowskim cmentarzem, — wonią róży samotnej, róży ciemnej, róży jedynej, kwitnącej przed oknami... Nie mógł usiedzieć na miejscu swem pod wysokimi drzewami, na szczycie «Góry Armatniej», gdzie czarnowąsy, milczący i zafrasowany Szczepan, tyloletni i najwierniejszy wszystkich przyjaciół, nawiózł mu do zabawy piasku, kopanego głęboko w ziemi, górę niemal tyłą, co Armatnia. Ani przestroga Szczepana, ani surowy nakaz Heni, przyrodniej siostry, nie mogły powstrzymać wędrowniczka. Zdawało mu się, że skoro tylko zdoła oderwać zupełnie i podkulić pod siebie lotne nóżki od ciężkiej ziemi, rozłoży coś, jakgdyby skrzydła promieniste i poleci ponad tę piękną dolinę,

gdzie błyszczą jasne wody, za daleki błękitny las, w przestwór siny, gdzie odległe, zamglone wiatraki machają śmigami, jakoby tajemnicze wielkoludy przyzywającemi rękoma.



Mały człowieczek, rosnąc w dziecińskie swe lata, zatapiał się w dociekania, nie łatwe do rozstrzygnięcia dla tych, kogo bez przerwy zasypywał pytaniami o wyjaśnienie mu wszelkich zjawisk i zawiłości świata. Gdy z nim ktoś, bardzo często dobrotliwy «stary szlachcic», czyli «dzia-dzio», — Bolesław Prus, zabawiał się dyskursem, mały rozmówca, słysząc głos wychodzący z głębi człowieczej i podglądając z wielu stron rozchyłające się usta, niespodzianie zapytywał:

— Nikt mi nie chce odpowiedzieć, dla czego to głosu nie widać...

W istocie, nie łatwo było znaleźć dokładnie zaspakajającą odpowiedź na to pytanie. Kiedy-indziej, gdy patrzył na słońce, które oświeślało pokój i rozpytywał szczegółowo o owe «promienie», podane mu do wierzenia, zadał pytanie:

— Jakimże sposobem te promienie umieją przechodzić przez szyby? Okno jest zamknięte, a one przechodzą przez zamknięte okno. Jak one to potrafią zrobić?

Te i tym podobne dociekania przyczyn i istoty zjawisk, dociekania, sposobem pytań bez końca przeprowadzane, nie stanowiły, oczywiście, głównej osnowy życia Adasia. Bawił się i figlował zawzięcie, co nie przeszkadzało mu znowu uczestniczyć w życiu politycznem, w sposób, co prawda, bierny, lecz dostatecznie żywy, jak na jego wiek i ledwie widzialną osobę. Gdy na przemiany to «Ziuk», to «Edmund» zjawiał się w Warszawie owoczesnej, każdy ze swą walizką, zwaną od barwy skóry «brunetką», albo «blondynką», zawierającą trzeci, czwarty, piąty i szósty numer «Robotnika», — gdy długonogi i ogromnie wysoki «Edmund» przychodził nocować do mieszkania na ulicy Żabiej, w bocznem skrzydle starego pałacu, i trzymał przy wężgłowi polowego łóżka cały nakład rewolucyjnego pisma, nad którego wyśledzeniem i pojmaniem wszystka żandarmeria, «ochrana», cała sfera szpiclów i cała policja łamała sobie głowę w ciągu lat, ze wściekłością, a w bezskutecznym wciąż pościgu zbijała zęby i zrywała nogi, mały polaczek wiedział, że trzeba być bardzo cicho, bo «Edmund» śpi, że pobyt w domu owego chudego gościa, to rzecz groźna nie tylko dla bezpieczeństwa wszystkich, ale dla wielkiej, bezcennej biblioteki, gdzie jego tatuś jest urzędnikiem, że tedy trzeba milczeć,

jak kamień, i zachowywać spokój. To też, skoro rozlegał się z nagłą dzwonek, a we drzwiach stanął elegancki pan z walizką w ręku, ciekawski i wszędybylski chłopczyk wbiegał do pokoju blady, lecz spokojny, ze spiskowym na wargach szeptem:

— «Edmund»!

W zimową noc, późno, nad ranem, gdy od wielu godzin trwała w mieszkaniu pospolita wówczas w Warszawie scena, najścia gromady żandarmów moskiewskich, policyantów i jakichś cywilnych zbirów, — gdy wszystkie rzeczy uległy przetrząśnięciu, a sprzęty były przewrócone do góry nogami i dokładnie obejrzane, — i mały Adaś został wydobyty z łóżeczka rękoma dwu policyantów, a jego posłanie poddane gruntownej lustracyi i zrewidowaniu. Nic tam jednak w głębiach sienniczka i puchowego leniuszka nie znaleziono, zdaje się, coby państwu cara i jego w Polsce panowaniu zbyt bezpośrednio zagrażało. Dziecko zbudzone niespodzianie przez uzbrojony i wrogi tłum, hałas i zrujnowanie po nocy domowego ładu, nie wydało krzyku. Uważnie i spokojnie patrzyło na srogich pacholków, przetrząsających posłanie i na eleganckich oficerów w niebieskich mundurach, grzebiących w szufladach wypielęgnowanemi rękoma.

Pewnego razu mały polaczek wystąpił zresztą

z otwartością czynnie wobec przedstawicielstwa władzy moskiewskiej. Wszystkich moskali, żandarmów, żołdatów i wogóle brutalów, napastników, zbójów, wszelkie widma, zmory, strachy, obrzydliwe figury, a nawet pojęcia nazywał swem własnem słowem — «*Muńka*». Prowadzony za rękę na spacer do Saskiego ogrodu, przy którego bramie wartował ogromny żandarm w pełnem uzbrojeniu i ze strzelistą kitą na okrągłej czapce, malec wyrwał rękę, stanął czupurnie przed wielkim żołnierzem, wspiął się na palce, zadarł głowę do góry i krzyknął na żandarma z nieopisaną pogardą:

— Ty! «*Muńka*»!



Otwock z jego górami czystego piasku i snowowymi gajami, które, jak szczelna kopuła, tają pod sobą letni upał... Śliczny Świder, żłobiący swe łożysko w litym piasku pokładzie, modrym nurtem, płasający ponad jasnym dnem nieskalanego podglebia... Otwock, z jego willami we własnym stylu «otwockim», — stodoły i wozownie, zaopatrzone w strzeliste wieże i fantastyczne balkony, zwisające nad «tranzetami»... Otwock, zaopatrzony w liczne parki przy willach, gdzie karłowate i suchotnicze sosenki, otoczone sztachetami nad-

złodziejskiej wysokości, noszą na swych pieńkach nacięcia i cyfry porządkowe, wypisane niezmażaną smołą: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7... Każdy z tych chojaków przewidziany jest w budżecie przyjemności wakacyjnych posiadacza z Nalewek, lub Świętojerskiej ulicy, lecz nieliczne «wille» posiadają podwórka. Większość z nich zajmuje tyle otwociego piasku, ile go ogarnęły przyciesi kadłuba i wieży. Śmieci, odpadki, pomyje i wszelkie brudy wylewa się i rzuca w wyboje drogi, lub w jej rowy, o ile ich jeszcze wiatr nie zasypał. Stamtąd ściekami i strumyczkami deszcz je przeprowadza do przeczystego Świdra, ażeby zarażały jego piękną i bujną wodę.

Małe nóżki przybysza z Warszawy z dziwną rozkoszą wstępowały w nurty świdrowe, a stopy płasły w zawody z najbystrzejszą falą. Srebrzyste płotki i błękitne pręgowane okoniki mknęły zdala od tych nózek, żeby się z nimi ścigać w głębinie. Któż mógł przewidzieć, że w głębiach czystej i zdrowej wody czyha ludzki wytwór, zaraza strasznej czerwonki na byt niewinny i rzeźki, zdrowym rybkom pokrewny? Długa, ciężka choroba... Śpią już w ziemi czarnej ci dobrzy, tkliwi i mądrzy lekarze, którzy ją wówczas zwalczyć zdołali — dr. Józef Brudziński i dr. Stanisław Kamieński. Drodzy przyjaciele małego chłop-

czyka, czujni jego dobrobytu strażnicy, którzy z Warszawy raz w raz przybiegali, ażeby walczyć z okrutną chorobą. Wielkie cierpienie ledwie zdołało pomieścić się w organizmie tak małym. Dokonał się rozrost smutku w tej duszy. Żałosny wzrok spoglądał na świat, niby zza krat więzienia, a krzyk dziecięcy stał się dziwny, własny język cierpienia, jakby pisk ptaka, postrzelonego przez zbójceki pocisk człowieczy.



Dwuletni pobyt w Zakopanem wzmocnił ciało chłopczyka i skrzepił jego duszę. Chyże saneczki, dar «sprawiedliwego sędziego» dra Zygmunta Kostkiewicza, podczas srogiej zimy migały wciąż między świerkami. Wdychanie nieskalanego powietrza wśród zasp puszystych, różowiejących lub błękitnawych, zrobiło swoje, równie jak obcowanie z lodem, zjeżdżanie z wysokości i wdrapywanie się na wzgórze, lepienie z podatnego śniegu po całych dniach bałwanów, «tak wielkich jak tatuś», o czarnych z węgla oczach, figur palących wielką faję ze świerkowego korzenia i podpartych wielkim kosturem. Wędrówki wśród głuchych zarośli, zadętych grubą styczniową okiścią, zabawy na werandzie, wśród długich wiosennych dżdżów, ulew i siapawic, wycieczki do głębokich

dolin, ponad pieniste potoki po kwiat krokusa i gencyany, po wielobarwne maki i królewskie złotogłowie, na wzgórza, owiane ostremi wiatrami — kształtowały duszę.

W czasie wojny japońskiej drgnienia wolności, szepty zмовy, spiski, pierwsze sięgnięcia po broń. Polityczne, kostjumowe zabawy, w których uczestniczył sześćioletni «*Szikiszima*» w długim kimono, w gryfy cudne malowaniem przez Jego Miłość dostojnego przyjaciela, orędownika, mistrza i sławę podhalańskiej ziemi, Stanisława Witkiewicza. Długie wtedy pozowanie do portretów artystom — «bizantyńskiemu» Michajle Bojczukowi, to Leonowi Wyczółkowskiemu, który postać marzącego dziecka osnuł motylami, tańczącymi w wiosennem Tatr powietrzu... Nad łóżeczkiem «*Szikiszimy*» zjawiały się akwarele dla niego malowane przez Jana Stanisławskiego i Stanisława Witkiewicza, — ułany w amarantowych czapach pędzące na ognistych rumakach... Złote dni pierwszych wolności drgnięć, marzeń o Polsce wolnej.



Budowa «chaty» na szczycie «Góry Armatniej» w pobliżu grupy dzikich drzew, domu składającego się z jednej jedynej izby, wysokiej i sze-

rokiej, jak spichlerz, o ścianach gładkich z sosnowych drewnien, do której prowadzą zamczyste drzwi, a zaopatrzonej we trzy okna ogromne. Morga nabytego gruntu zasadzona została owocowemi drzewami jabłoni i gruszek, oraz dzikim w dole «laskiem Adama». Wrosły tam w ziemię wysmukłe modrzewie i włochate wejmuty, szereg polskich sosen, jodły świętokrzyskie i dwie cudzoziemskie tuje, niebieski świerk, ozdoba całego «lasku» i dwa leniwie rosnące cisy. Aleja gęstych lip i grabiny otoczyła kwadrat pochyłego pola. Ileż to zabiegów i kłopotu wchłonęła w swe ściany ta «chata» za ośmset rubli, pracownia, a raczej leżalnia! Gdy z opoki, łupanej w ziemi, z budowlanego «siwaka», majster mularski i «towarzysz», pan Krajewski wzniosł kapitalne podmurowanie, przechodzący górną drożyną rolnicy sądzili, iż to będzie jakowyś walny gmach w tej stronie. Po tem podmurowaniu, wychodzącem z ziemi, istnem marzeniu pisarskiem, hasał radośnie zdrowy i rześki dziedzic na jednej mordze i jednej w przyszłości izbie, przybrany w szyszak rycerski, zawsze w miłym towarzystwie przyjaciółki dzieciństwa, Elżuni Daniłowskiej. Świst heblów pod pracowitemi dłońmi majstra Hańskiego, kmiecia cnotliwego i sprawiedliwego jak średniowieczny budowniczy, majstra Ratajewskiego,

bywalca i mówcy — Niezgody i miłego przyjaciela Mateusza Pakuły, najuboższego z ubogich wioskowego mistyka, który umiał na pamięć «Księgi pielgrzymstwa»... Łoskot siekier, ociosujących belki w ślad za «naostrzonym» sznurem i stuk dłót, żłobiących otwory dla «tyblów»... Łaty i gonty, góry desek i góry heblowin...

Życie i radość wśród desek i heblowin.

Desek i heblowin...

W zakresie tej pracy język jej niedocieczony, tajna krypta wiecznej nowości, — i niepochwytany, wieszczący kiedyś w tem schronieniu nowe życie, język dziecięcy... Pod szumiącymi drzewami, wśród pól o zbożu dojrzałym, falującym, jak oko zasięгло, wśród ogrodów i pasiek wrzała ta praca. Skoro lubelski zrąb został «zakopiańskim» dachem nakryty, wstawione drzwi, oszklone, trzy wielkie okna i dwa w górze «wyglądy», wprawiona podłoga z suchych i czystych desek, miał już gdzie spać mały mieszkaniec. Słowiki śpiewały mu na wiosnę po dziesięciu i piętnastu naraz w krzewach ogrodu. Sroki, jak ciekawe kumoszki, wskakiwały cichaczem na stopnie ganku i, przekrzywiając chytre głowy z boku na bok, dla dokładniejszego zbadania miejsca i ściślej-szego wyciągnięcia wniosków, zaglądały do izby, gdy przypadkiem drzwi były otwarte, żeby się

przekonać, co to za budę wzniesiono tutaj w głębi sadu i czy się czego z głębi tego dziwołaga zwędzić nie da. Skoro pewnego dnia podczas rewolucyi 1906 roku, w przezornej ostrożności schowany został pod dachem na wystającym «rysiu» browning z garniturem ładunków, zawinięty szczelnie w papier, przed ciekawskimi w granatowych mundurach, którzy lada moment nowe domostwo zwiedzić mogli, sroki objawszy już w posiadanie dach i poddasze, z wrzaskiem, skrzeczeniem i gadaniem plotkarskim na cały ogród, podarły dziobami papier ochronny na drobniutkie kawałeczki, a rewolwer i naboje zrzuciły z «rysia» na ziemię, właśnie, jakby nieproszone a usługne detektywy.

Księżyc przybywał w nocie czerwcowe patrząc przez wielkie okna w głąb izby i napelniać ją rojowiskiem sennych widziadeł. Trzy wielkie okna, jakoby tryptyk nieporównany, zawarły w ramach swych krajobraz najpiękniejszy pod słońcem. Stała w nich «Góra Poniatowskiego», prasłowiańskie grodzisko z fosą na szczycie, szklana góra o stromych zboczach, które okrywa szkliwo twarde, przed nieskończonością lat wypalone dla obrony czyjegoś zamku na szczycie przed jakimś wrogiem. Ciągnęła się cynkowska dolina z błękitnym nad nią lasem, który zniżał się do niej, jak strofa pieśni, przepływająca w marzenie...

Równina dalej lubelska, ziemia zbożem zasłana, tomaszowickie aleje, idące w dal, w świat. Bochocki kościół i cmentarz na wzgórzu... Na futrynie tych okien wspierał łokcie mały mieszkaniec i zatapiał w przestwór oczy. O czym śnił wówczas, nucąc samemu sobie swoją własną piosenkę?...

Gdyby człowiek ułomny wiedział, gdyby mógł przeczuć, na co wznosi ściany domu, i co to się zawrze pod jego powalą, — och, spaliby na stosie przekłete drewna, zanim je ręka najemnika w znoju ociosywać zaczęła toporem, zanim je ramię ludzkie dźwignęło z ziemi!..



Mały człowieczek był w tym czasie nadmier- nie ruchliwy. Lubił siadywać na płotach i dachach, wlażyć na drzewa i grzbiety koni. Pewnego dnia stare kobyłsko, skazane oddawna na wożenie beczek wody ze źródła na górę poniosło go, jak opętaniec od dyabła, między nisko rozpo- starte gałęzie ogrodu, które go, na szczęście, zgar- nęły dobrotliwie na trawę, bez żadnego szwanku. Kiedyindziej, wdrapawszy się na wysmukłą drze- winę śliwy, spadł nieszczęśliwie, i złamał rękę. Kość pękła w prawym łokciu na krzyż i do- szczętnie. Składał ją początkowo dr. Przemysław

Rudzki, później chirurg Dobrucki z Lublina. Ileż to biedny Adaś nacierpiał się przy składaniu ręki i przy jej leczeniu! Gdy się kość zrosła, przeznaczony przyjaciel i stały lekarz w ciągu lat dr. Kazimierz Chełchowski poradził, żeby jej zgrubienie, przeszkadzające w ruchach prawej ręki, poddać kąpielom morskim. Mały pacjent wyruszył jesienią w podróż na południe. Z Warszawy udał się do Krakowa, stąd do Wiednia, Monachium, Rapperswilu i Lozanny, gdzie przyrodnia jego siostra, Henryka, uczyła się w szkole «*École Supérieure de jeunes filles*». Zatrzymując się w Wiedniu, Monachium i Rapperswilu czas niejaki, poznawał rozmaite cudeńki, muzea, teatry i widowiska, z których pewne wesołe «śpasy», jak np. w Monachium, zachował na długo w pamięci. Późną jesienią i na początku zimy w wąskich uliczkach miasta Lozanny, tej góry zastawionej szkołami, liceami, pensjonatami, przykładał się najchętniej do poznawania zabaw wigilijnych studentckich na placu St. François i ćwiczył smak przedewszystkiem w rozróżnianiu wartości czekolady Suchard i Milka. Wieczorami lubił obserwować elektryczne szyldy tych instytucji, gdyż przypominały mu samą istotę rzeczy. Jakże to wesoło żyło mu się tam na uliczce Les Charmettes 2, w ogródku, zavalonym śniegiem, w za-

cisznem mieszkaniu z widokiem na dalekie zamglone jezioro i niebosiężne góry! Ale wypadło ruszyć w dalszą podróż. Przez Simplon, który pochłaniał jego uwagę i podniecał imaginację do najwyższego stopnia, dotarł do Medyolanu, zwiedził katedrę i inne osobliwości, żeby w kilka dni później przechadzać się po Florencyi, a wreszcie znaleźć się w Rzymie w pensyonacie «Rosada» obok Pincio. W tym okresie swego życia zajęty był głównie i, można powiedzieć, wyjątkowo okrętami, burzami morskimi, wyszukiwaniem i chwytem piratów, walką z nimi nieubłaganą, odkrywaniem nowych lądów, wysp i plemion, a nadewszystko tęsknotą do widoku... kotwicy. Trzeba było niemałej umiejętności w zakresie budowy okrętów, żeby odpowiedzieć na jego pytania co do masztów, żagłów, sterów, śrub a nadewszystko co do kotwicy, gdzie ona jest, jak ją się zarzuca, wyciąga, gdzie na okręcie umieszczona. Nie wystarczało pobieżne i bylejakie określenie. Domagał się wyjaśnień precyzyjnych, ścisłych, niemal fachowych. Myśl jego zajęta była wciąż okrętem, wyobrażnia, można powiedzieć, pełna wzburzonego morza, wichrów, huraganów, piorunów, katastrof, strzałów armatnich i nieustraszonego kapitana ze strzaskaną ręką wśród dymu i pian. Rzeczy i sprawy lądowe traktował z ła-

skawem lekceważeniem, jak prawy marynarz na urlopie. W Rzymie, skazany na długotrwałe zwiedzanie kościołów, katakumb, muzeów, ruin, placów, poddał się konieczności, jak na cichego i posłusznego chłopczyka przystało. Santa Praseda, Santa Pudenziana, San Clemente, Santa Saba, Santa Sabina, San' Agnese, Forum, Palatyn, Colosseo, San Pietro, wzgórze Rzymu, nieskończone kościoły i nieskończone muzea. Zdarzało mu się utyskiwanie na nadmiar tych muzeów. Po pewnym czasie począł bawić się setnie wśród gruzów wiecznego miasta i w obrębie bezgranicznej jego piękności. W zimowe poranki, kiedy ostry mróz lutego ubielił trawniki Pincio, obchodził z ojcem mury rzymskie, gapiąc się gapieniem wielkiem na niewysłowioną ich poezję. Wybierali się tak oto we dwu, przybysze z ubogiej północy, na wędrowkę bez planu i wskazówek, odgadywali to, co się w oczy rzucało, udzielając sobie nawzajem wiadomości przypuszczeń i wrażeń. Patrząc na wyłomy, szczyrby i zranienia w tych olbrzymich ścianach obronnych, radzili nad przyczynami tych dziur, opowiadali sobie o hordach barbarzyńców, o legiach, pułkach i batalionach bohaterów, które się krwawiły pod temi wiecznemi zasiekami, ażeby je osiąść, jako zdobycz najcenniejszą na ziemi.

Siedmioletni pielgrzym nie zawsze tylko lądowego doświadczał dyzgustu, tęskniąc za swem morzem, którego jeszcze na oczy nie widział. Zdarzały mu się w Rzymie i dnie szczerzej radości. Jednego razu podpatrywał ryby w sadzawkach Frascati, pod cieniem cyprysów nieopisannej piękności, biegał wesoło po Tusculum Cycerona i ogrodach willi Mondragone, przeskakując cienie i światła w prastarej alei, jak istny motyl w swej rozwiewnej pelerynie i bereciku. Kiedyindziej swawolił i płąsał wśród grobów cmentarza protestanckiego, nad mogiłą Shelley'a i po wysokiej trawie, wśród której kryje się grobowczyk Keats'a. Bawił się w chowanego z nowopoznanymi przyjaciółmi Kazimierzem i Janem, czyli Mimi i Hansem, do czego służyły znakomicie olbrzymie kłoce apostołów na frontonie dachu katedry św. Piotra. Z namaszczeniem wstępował do cel więziennych na Zamku Anioła, żeby za chwilę z najwyższem zainteresowaniem oglądać garnki do gotowania wrzątku oliwy, którym się polewało napastników, — i ażeby słuchać nadzwyczajnych, przedziwnych, bajd, skazek i legend o tem miejscu, opowieści, które sobie komunikowali starzy. Biegał po Bosco sacro i ścigał się z przyjaciółmi po Via Appia, szeptał cicho w katakumbach św. Kaliksta, bawił się

w łuku Tytusa, nastawiając swą pelerynę przeciwko wiecznemu wiatrowi, który w przeciągu wieków wyświstał, wydrwił i wyszydził tyle potęgi i tyle wielkości. W kościele św. Piotra rozpatrywał i sprawdzał niewiarogodną prawdę, iż baldachim nad grobem pierwszego z apostołów, tak na pozór niepokążnej wysokości, jest w rzeczy samej o kilka metrów wyższy od całej w Nałęczowie szkoły, wraz z jej łamanym dachem i kominami, wysokimi, «jak w piekarni». Wdrapawszy się zaś na wewnętrzną galerję kopuły patrzył na maleńkie mrowie ludzkie, na dorosłych, którzy się stawali mniejszymi od niego, — jak się snuli tam w dole. Wszystko dlań w Rzymie było, jak długa fantastyczna bajka, przedziwna na jawie klechda, gdzie terażniejszość deptała przeszłość, zrastając się z nią w bezsens nieskończony, gdzie splatało się w jedną bezładną opowieść życie jakichś bogów i bogiń, bohaterów i królów, wodzów i papieży, gdzie niezmierzone budowle na skinienie wielkich artystów przez stada robotników wznoszone, zostały zburzone, zniszczone i potargane przez inne stada ludzi, jak dziecięce zabawki. Zamieć śnieżna, która łokciowym kożuchem białego puchu przykryła Neapol, złośliwie chowała morze przed stęsknionymi oczyma niedoszłego marynarza. Ale ranek

odskonił je wreszcie ze wzgórza Vomero — błękitne, dalekie, — ze skałą Capri, celem podróży; utopioną w przestrzeni. Nie wiele już teraz muzealnego bywalca zajmowały wszelakie cuda Museo Nazionale, kościoły i klasztory, z takimi nawet cudami, jak w San Gennaro. Przebywał w porcie. Tam pałł oczy i serce widokami, które mu były miłe. Świsty i wrzaski, zapach smarów, widok kominów, żagli, masztów, drabin, lin, łodzi, szalup, sieci — przejmowały go do szpiku kości, a obecność ogorzałych marynarzy, «wilków morskich» napępiała głębokiem uszanowaniem. Jeżeli co jeszcze mogło go oderwać od pasji przebywania w porcie, — to Akwaryum. Całe dopołudnia trawił na obserwacji życia głębin morza, rycerskich walk langustów, prac ukwiałów, leniwego snu dyabłów morskich, podstępów «stronek», lekkomyślnych pływów ślicznych sepii i tylu innych objawów rzeczywistego bytu, które się zdają być jedynie pięknym snem. Minęły tygodnie, nim mały obserwator nasycił się akwaryum i portem, nim wchłonał w siebie, spamiętał i uporządkował w swej wszystko ogarniającej głowinie tak różnorakie widoki. W tym czasie, w ciągu obiadów w pensyonacie, wieczystą zawarł przyjaźń z profesorem, zdaje się fizjologii w neapolitańskim uniwersytecie, doktorem Galeottim. Ci dwaj

panowie szczególnie się dobrali i porozumiewali, aczkolwiek profesor nie umiał po polsku, a mały polaczek ledwie coś niecoś po włosku. To im jednak nie przeszkadzało w głębokim wzajemnym, afekcie. Po obiedzie, gdy matka profesora uskarżać się zaczynała płaczliwym głosem: — *Oh signori, signori, com'è freddo! com'è freddo!* — profesor i siedmioletni cudzoziemiec ujmowali się za ręce, wychodzili na słońce do małego ogródka z południowej strony willi i tam przechadzali się wśród krzewów pomarańczowych, porozumiewając się, gestykulując i «rozmawiając» z gwałtownością o czymś i w jakimś języku, którego nikt, oprócz nich, nie mógł ani zrozumieć, ani dosłyszeć, gdyż go ci dwaj na swoją tylko potrzebę wynaleźli i zażywali. Gdy wreszcie można już było opuścić Neapol, Adaś nie posiadał się z radości. Pierwszy wbiegł na statek, ledwie rzucono pomost z brzegu na pokład. Ale oto, zanim ktokolwiek mógł na tym pokładzie nogę postawić, wskutek jakiegoś powodu, odsunięto pomost. Adaś znalazł się sam jeden na tym statku, tyle upragnionym. Mina mu cokolwiek zrzedła, gdy jeszcze wszyscy swoi byli na brzegu, a on sam jeden na pokładzie. Jak to bywa zazwyczaj z zaspokojeniem najgorętszych pragnień, rozkosz oczekiwana w przykrość i strach się obróciła... Ale

mały wnet ochłonął i mężnie zniósł doświadczenie, gdy w ciągu kwadransa sam jeden był na tajemniczym okręcie. Zato, gdy parowiec *«Principessa Mafalda»*, załatwiwszy swe sprawy, wydobył się z portu i wyruszył na mocno tego dnia wzburzoną zatokę Neapolu, mały zażywał istnych rozkoszy. Zaglądał wszędzie, wszystko lustrował, obserwował, badał i, oczywiście, rzucał tysiące pytań. Po paru godzinach awanturniczego wznoszenia się na fale i spadania w ich głębiny, statek dotarł do portu Capri i stanął zdala od brzegu, u południowego wejścia do zatoki neapolitańskiej, kołysząc się, huśtając i przechylając z boku na bok. Należało skakać z drabiny w łódź miotającą się na wysokości fali, a dobrze trafiać, żeby się na dnie nie znaleźć. Pierwszy to uczynił Adam, jak na dzielnego marynarza przystało, ani dbając o tłumoki i kuferki miotane w łódź ze statku, które trzeba było chwytać w powietrzu. Gdy ojciec skoczył również w głąb łodzi, biegnącej już to wysoko, niemal do poziomu pokładu, już opadającej pod kadłub okrętowy, synek pochwycił go za rękę i uszczęśliwionym głosem, na nikogo i na nic nie zważając, wołał wielokrotnie:

— Widziałem ją! Już ją widziałem! Widziałem! Własnymi oczami!

— Kogo widziałeś? Gdzie? Co?

— Kotwicę! O, tam jest! Tam! W takim wyżłobieniu! Tam!

Szczęśliwy dla niego pobyt na Capri trwał parę miesięcy. Przyjaźń, zawarta z Marylą Wolską i małym Carlo Pagano, zabawy w gaju pomarańczowym, wycieczki na Punta Tragara w towarzystwie Maksyma Gorki'ego i Ellen Key, do willi Tyberyusza, po wąskich zaułkach i stromemi drogami do Anacapri, codzienne z ojcem spaceru w dół do Faraglinów, gdzie zielone fale morza, uderzając o twarde dno, skręcają się w kłęby, wzdymają w okrągłe banie, tarzają się, wiją w krąg i kipią, jak ukrop a w czarownych korowodach po tysiącokroć obiegają śliskie labirynty, progi, zatoki, ostoje i sienie. Kąpiele z ogrzanej wody morskiej w ogromnej glinianej amforze greckiego kształtu wracały władzę i sprawność złamanej ręce, a ruch, ostre powietrze i obfitość owoców przedziwnie dobrze wpływały na zdrowie. Ileż to radości, jakie szczęście dawało małemu turyście opływanie wyspy w łodzi, od skały do skały, zwiedzanie grot Verde, Rossa, Mitromania! W grocie czerwonej nie mógł się napiatrzyć, nadziwić oszlifowanym kamieniom kredowego wapienia, które morze w głębi pieczary złożyło, jakoby swój skarbiec tajemny, — duszącemu gorącu jodowych waporów, kropłom

ukropu, kapiącym ze sklepienia. Badawczemi oczyma przypatrywał się rubinowemu szlakowi koralu na zewnętrznych skałach i ciemnogrnatowemu z jeżów morskich, co na wysokości zalewu morza zdobią je, niby dwa gzemsy prześliczne. Chwytał rękoma piękne meduzy i w zachwycie patrzył na zaloty, skoki i tańce fal między złomami skalnymi. W grocie Mitromania słuchał legendy o kulcie Mitry, który tam, pono, miał swą świątynię... Wypłynawszy zaś na pełne morze, obejmował zachwyconemi oczyma wyśniony żywioł swój, cudne ziszczenie dziecięcych marzeń, nieogarniony obszar rycerstwa swej duszy...



W drodze powrotnej, wysiadłszy na brzeg w zatoce Neapolu, po wielu zabawnych przygodach w czasie wsiadania na statek, mały podróżnik doświadczył dziwnego przypadku. Koń fiakra, pospolita siwa szkapa, poniósł powozik i przez całą długość Via Partenope pędził, jak oszalały, co tylko było w nim siły. Staruszek *vetturino* wypuścił z rąk lejce i, zrozpaczony, krzyczał bezradnie, w niebogłosy i tak przejmująco, że poruszył całą ulicę. Koń w szalonym pędzie biegł na żelazne sztachety skweru, widniejącego w oddali. Dwaj policjanci puścili się za nim

w pogoń i, uwiesiwszy się z dwu stron przy uździe, wlokąc się po ziemi, ledwie zdołali powstrzymać znarowione zwierzę w odległości kilku kroków od ogrodu. Adaś, prawdę powiedziawszy, nie bardzo martwił się tą awanturą, lekce sobie ważąc niebezpieczeństwo życia, które wszystkim zagrażało. Zachwycony był nadewszystko jednym z policyantów, który nie chciał przyjąć żadną miarą ofiarowanych pieniędzy, a za całą nagrodę prosił o ogłoszenie opisu wypadku z wymienieniem jego nazwiska w brukowym dzienniku neapolitańskim. Po wielotygodniowym pobycie w Neapolu, w Rzymie, (mieszkanie na rogu ulicy Cola Rienzi), w Wenecji, Peszcie i Krakowie podróżnik w doskonałym zdrowiu i ze sprawną już ręką wrócił do Nałęczowa. Trafił tam na apogeum i likwidację rewolucyi. Patrzył i słuchał, gdy odbywały się raz wraz demonstracyjne pochody, ze śpiewaniem na drogach publicznych pieśni rewolucyjnych, zawieszanie sztandarów na wszystkich drzewach Alei Lipowej, zebrania, wiece ludowe pod otwartem niebem, spiskowe schadзки w parowach, coniedzielne odczyty w szopie «na Pałubach», wykłady w ledwie wykończonej szkole dla nauczycieli ludowych, — strajk rolny, sądy ludowe, teatry, koncerty na przeróżne cele w nałęczowskim «pałacu». O małe jego łóżko odbi-

jały się szeptane wiadomości, iż tej nocy Grześ Wójcik zakopuje w polu dla czasowego ukrycia broń przywiezioną z Lublina, — że dziesięciu rewolucjonistów uciekło lochem kloacznym z lubelskiego zamku, — że dwu z nich przechowuje się na strychu «Pałub», że jeden w przebraniu kryje się w Niezabitowie, — że aresztowano nałęczowiaków i powleczono ich w kajdanach do Puław, — że ktoś zdradza... Oto Grześ Wójcik, wódz młodzieży chłopskiej na daleką okolicę, który wydał hasło, że nikt z poborowych nie da się wziąć do wojska, porwany w nocy przez kozaków, otrął się w puławskich koszarach. Kozacy sotniami poczęli jeździć po «nałęczowskiej republice». Żandarmi poczęli otaczać szopę «na Pałubach» przed każdym niedzielnym odczytem, a policmajster zjawił się w asyście swych drabów u drzwi sali. Wreszcie pełen wóz żandarmów i zbirów zajechał do szkoły «na Pałubach» i w biały dzień porwana została nauczycielka, panna Faustyna Morzycka, — której imię niech będzie zawsze we czci!

Bawi się wesoło na balkonie domu żywy chłopczyk w jasny, jesienny dzień. Słychać na błotnistym gościńcu tupot licznych kopyt i rozgwar ludzki. Przed bramą obejścia zatrzymuje się pierwszy szereg tabunu kozaków. Nie wia-

domo, czy tu zajądą w gości, żeby kogoś w gości poprosić ze sobą, czy ruszą dalej. Dziecko nie-mieje, blednie i czeka z zapartym oddechem. Tutaj, czy nie? Ale «sotnia» brnie dalej szero-kim gościńcem, do kogoś innego w gościnę.

Panna Faustyna raz wraz daje znać z wię-zienia, żeby z Nałęczowa wyjeżdżać, uciekać co tchu zagranicę. Daje znać raz, drugi, trzeci, że ją wciąż pytają i cytują szczegóły. Niema dnia, żeby ktoś z Lublina nie przybiegał z ostrzeże-niem. Zdradził jeden z owych rewolucjonistów, którzy się kryli na strychu. Wszystko wydał, opowiedział. Dnie i noce są «czekane», a wszyscy i wszystko w pogotowiu. Każdy tętent na dro-dze, każdy po nocy krzyk dźwiga z poduszek wszystkie głowy. Mijają tak tygodnie tej jesieni. Szkoła jest skończona i pełna dzieci, nauki, śpie-wów, tańców w ogrodzie. Mur, opasujący szkołę, nakryty dachówką i położony napis nade drzwiami. Wierzby nade drogą szkolną zasadzone i wygra-cowane ścieżki. Czas jechać... Smutne oczy ma-łego Adasia zegnają się z każdym drzewem i ścieżką, z każdym zielonym wzgórkim i pa-rowem, które ubarwił więdniejący liść dębów, lip i jarzębin. Smutna w opustoszałym dzie-dzińcu zostaje «Łyska», odchowane źrebiątko, zro-dzone z «Karej», pracownicy ogrodowej, wozi-

wody «Góry Armatniej». Nieme, żalosne stoją wokół drzewa willi. Liść złoty i rudawy z nich spływa. Małe nóżki brodzą w szelestach złotolistnego kobierca, które zdają się wołać z ziemi: — nie chodź, ach, nie chodź!... Wszystkiego żal. Żegnajcie, piękne, nałęczowskie pagórki i doliny, szumiące drzewa w parku, ukochane krzewy i ty, niewymowna swobodo dziecięcych dni!...



Po nowych rewizjach i aresztowaniu w Warszawie, po ratuszowem więzieniu i ciężkiej chorobie udało się ojcu Adasia wydostać za granicę. Przebywszy jakiś czas w Krakowie i Zakopanem, dziewięcioletni wychodźca, we wrześniu 1909 roku ruszył do Paryża. Z mieszkania przy uliczce Ernest Cresson pod Nr. 22 począł uczęszczać do Lycée Montaigne przy ulicy Auguste Comte Nr. 17, obok Luxemburskiego ogrodu. Po francusku nie umiał mówić, dopiero uczył się forsownie tego języka i nie bardzo był zaawansowany naogół we wszystkich umiejętnościach. To też z wielką w sercu trwogą, blady i przybity na duchu szedł na egzamin do liceum, a po złożeniu tego egzaminu został sam jeden po raz pierwszy wśród dwudziestu czterech obcych chłopców jego wieku w dużej sali klasy, zwanej

deuxième année préparatoire, pod okiem nauczyciela, pana Barot. Błady, smutny i dziko odosobniony stał pod murem, gdy po trzech kwadransach lekcyi chłopcy wybiegli na dziedziniec i z hałaśliwą radością rzucali się do zabawy pod okiem «cenzora» liceum. Bał się śmieszności, która zagrażała jego wrodzonej dumie, a na co nic przecie nie mógł poradzić. Przewidywał krzywdy i drwiny ze strony kolegów. Łamał się w sobie, żeby jakimś cudem nie dać się pognać, nie pokpić sprawy, wyjść z honorem z sytuacji tak rozpaczliwej. Miał przed sobą zadanie tak trudne, iż łamał ręce z rozpaczą, wstępując pierwszy raz w progi wielkiego gmachu. Ale nie doznał w tym gmachu błogosławionym ani cienia przykrości. Ani jednego razu ze strony kogokolwiek nie był przedmiotem drwin, czy pośmiewiska. Nikt go nie dotknął, nie uraził. Widząc go samotnego i biednego pod murem, za-trwożonego i w tak wielkiej rozterce, zarówno nauczyciel klasy, jak sam *Proviseur* liceum, mr. Favre wzięli w opiekę cudzoziemca. Chłopcy zaś z własnej inicjatywy jeden po drugim podbiegali do niego z najłatwiejszem do zrozumienia wezwaniem, w ruchu ucieczki ukazując znaczenie wyrazu:

— *Attrape moi! Attrape moi!*

Najżyczliwiej i najpierw — Fernand Paillet serdeczny odtąd przyjaciel, wierny i wytrwały kolega, którego rzewne wspomnienie i miłe imię przetrwało wszystek czas, wielkość oddalenia i morze cierpień. Wielka, odwieczna, głęboka i pierwsza na ziemi cywilizacja narodu odmalowała się w prostem wśród dzieci przyjęciu cudzoziemca. Któraż na świecie gromada odmówiłaby sobie gratki, nie ośmieszyłaby obcego za wymowę, krój ubrania, ruchy, obyczaj? Nie zraniła drwinami przychodnia, nie skrzywdziła za samotność samotnika?

Na dziedzińcu i w salach liceum Montaigne'a ten przybysz już po tygodniu czuł się, jak w domu. Chwytał, połykał i wszystkimi porami wchłaniał język. We wszystkim doznał opieki i wskazówki od tych wykształconych i wytwornych ludzi, istotnych pedagogów, nauczycieli reguł myślenia i form obyczajności, oraz przyjaźni od współtowarzyszów.

O Francyo! Matko wolności, kolebko kultury, szkło rozumu, nauczycielko towarzyskiego współżycia ludzi, — bądź pozdrowiona z głębi duszy, bądź pochwalona, bądź szczęśliwa na wieki za uszanowanie i przygarnięcie cichej, nieśmiałej łagodnej duszy polskiego dziecka!

Z mieszkania na czwartym piętrze przy ulicy Ernest Cresson widać było nowozabudowaną dzielnicę, a nad nią wieżę kościoła Mont Rouge. We mgłach późnej jesieni i dżdżystej zimy paryskiej ta wieża stawała się podobną do ciemnej między obłokami szczeliny. Mały licealista podparłszy głowę rękami, pracowicie wyuczał się lekcji zadanej, powtarzając głośno po sto razy jakąś bajkę Lafontaine'a:

*„Le compère Thomas et son ami Lubin
Allerent tous deux ensemble a la ville prochaine...”*

Usta wytrwale powtarzały wyrazy utworu, lecz zamglone oczy widziały w tej stronie Mont Rouge obszerny plac, gdzie się odbywa gwarliwa «foire», jarmark wędrowny. Tłum otacza huśtawki, młyny dyabelskie, karuzele, a nadewszystko strzelnice, w których na odległość dziesięciu metrów do celu, mającego ośm cali obwodu, na piętnaście razy sześć razy trafić mu się udało. Tam gdzieś, za murami i ulicami był *Jardin des Plantes*, z ulubionym słoniem i mnóstwem zwierząt, ptaków, węzów, gdzie można było spotkać «prawdziwych» murzynów i najrzeczywistszych arabów. Rano w dniu świąteczne oddawał się kultowi Napoleona, któremu był wierny niezmiennie. W towarzystwie rzeźbiarza Włodzimierza Koniecznego

zwiedzał wszelkie instytucje, gdzie można było zobaczyć «coś z Napoleona»: grobowiec i muzeum u Inwalidów, Louvre, muzeum Carnavalet i t. p.

Tam to te dwie przeczyste dusze, głęboko ze sobą zaprzyjaźnione, znakomitego artysty i entuzjastycznego chłopca, jak na skrzydłach się unosiły, marząc o wielkości i o sławie, śniąc swój krótki sen przed samotracką Nike. Zarówno dziesięcioletni Fernand Paillet, jak równy mu co do wieku przychodzień z Polski, — byli zawziętymi militarystami. Rozmowy ich na spacerach, podczas zabaw, a nawet w czasie lekcji obracały się wciąż około Napoleona, spraw wojskowych współczesnych, rodzajów broni, konnicy, artylerii, amunicji, aeroplanów i łodzi podwodnych. Znali się na tem, jak nikt ze starych. Obadwaj z Failletem nienawidzili Niemców i forsownie parli do wojny. Jeżeli ich było obserwować z daleka, gdy wracali z liceum do domu, zawzięcie gestykulując i dysputując, to można było być pewnym, że na ulicy Denfert-Rochereau staną na pół godziny przed pewnym sklepem z bronią i że tam dopiero zaczną się dyskusja seryo, poparta najwymowniejszą gestykulacją. Gdy na skutek otrzymania za dobre sprawowanie się i postęp w nauce, zielonej lub białej kartki — *Témoignage de satisfaction de pre-*

mier ordre — mieli wolne popołudnie, udawali się na wrotki. Wylane asfaltem ulice Auguste Comte i przyległe aż do pomnika Ney'a brzmiały wówczas od wesołego gwaru szkolarzy. Popołudnia niedzielne mały polak spędzał zazwyczaj w domu przeznaczonych doktorostwa Zielińskich na Place de la Nation. Tam w jego młodociane uszy wpadały najnowsze, najbardziej sprawiedliwe idee, których ziszczeniu ci wytrwali i szlachetni ludzie poświęcili swe życie. Nauka w liceum i po za jego murami, lekcye prywatne, pobierane od jednego z nauczycieli i od matematyka, p. Zapolskiego, podówczas studenta Sorbony, umożliwiły licealiście otrzymanie dwu *Tableau d'honneur* za pierwszy i drugi *trimestre* roku szkolnego 1909—1910, oraz przejście do klasy ósmej, — lecz zmęczyły go porządnie. To też, skoro się tylko lekcye skończyły, wyjechał do Bretanii, nad morze, do miejscowości Plumanach w departamencie Côte du Nord. Podróż koleją do Lannion, a później końmi odbył w najmiłszym towarzystwie panny Jadwigi Sienkiewiczówny, która tę miejscowość Plumanach знаła bardzo dobrze, od czasów dzieciństwa, gdyż jej przyjaciółka, pani Pstrokońska, miała tam swą posiadłość. Zmierzch zapadał, gdy ze wzgórz nadmorskich *élève* zobaczył zatoki, przesmyki i zacisza morskie w skałach Plumanach.

Zamieszkał w hoteliku mr. Padela, miejscowego oberżysty, i tegoż jeszcze dnia bujał w parku, założonym niegdyś nad morzem przez polskiego wynalazcę, inżyniera Abakanowicza, oraz wdrapywał się na skały i głazy okrągłe ślicznego wybrzeża. Park, otoczony wysokim murem, który chronił młode jeszcze drzewa od straszliwości zimowych wichrów tego dzikiego kąta Bretanii, zawierał w sobie czarujące ustronia, olbrzymie bryły i bulwy skał, otoczone młodemi gąszczami, alejami i dzikim lasem, tak rzadkim w tej bezdrzewnej krainie, gdzie wiatr morski wyniszcza wszystko, oprócz *genêt* — żarnowca, jedyne go materiału opałowego mieszkańców, oprócz ślicznie pachnącego *ajonc*, janowca kolącego, o jasnożółtych kwiatach, który ze wzgórków słonecznych Bretanii dostał się na tarczę herbową Plantagenetów, — i tamaryszku. W głębi tego parku rosły piękne kwiaty, a za kwiatami młody groch strączkowy, nadzwyczajnie smakowity...

Strome wybrzeża parku we dwu miejscach posiadały dogodne i mocno cementowane tamy, do których łatwo było przybijać łodzią i łatwo odpływać na wyspę, gdzie wznosił się zameczek państwa Pstrokońskich. Tam zamieszkała panna Sienkiewiczówna, lecz codziennym była gościem w pensyonacie Padela, tudzież przewodnikiem

Adasia po okolicach Plumanach, po wonnych łąkach, dolinach, zarosłych wzgórzach, po wsiach bretońskich w stronie Perros-Guirec, po prastarych kościołach z nadmorskiego granitu, jak w Clarté, Perros-Guirec i Tregastel.

Dzikie morze wdziera się w zatokę Plumanach wąskimi szyjami, otoczonymi przez strome skały, i dwakroć dziennie zalewa niskie wybrzeża. Na trzęsawisku alg, podlegającym zalewowi, stoi na wysokiem podmurowaniu odwieczna kapliczka świętego Guirec'a, patrona okolicy. Dziewczęta, pragnące, żeby umiłowany rybak powrócił z morza, razem ze słowem modlitwy wbijają w drewnianą postać świętego trzy szpilki. Po upływie wieków niewiele już całego miejsca zostało z drewnianego świątka, tyle już szpilek ma na sobie. Rybacy małej wioszczyny Plumanach wysuwają się z przesmyków między skałami na czarnych łodziach, pod wydętymi, czarnymi żaglami, w skórzanych kopicach, płaszczach, nasyconych tranem i grubych butach na połów codzienny. Od nieustannego żeglowania, a wskutek braku ruchów nóg stają się podobni do krabów skalnych. Świszczące wichry niosą ich w odmęty wiecznie wzburzone, pod Siedm Wysp — *Sept îles*, — które widnieją na horyzoncie, połyskując blaskami morskich latarni.

Jakże chciwemi oczyma wypatrywał przygody rybaków na pełnem morzu niedoszły wojownik i marynarz, przyczajony w skałach wybrzeża! Obserwował tajemnicze manewry, gdy łodzie ich szły posłusznie pod wiatr, przedziwnie manewrując żaglami czarnemi, — wszystkie sposoby przybijania do tamy — *cale* — inżyniera Abakanowicza, zalanej wodą. Towarzyszył czarnym krabom oczyma, gdy przemoczeni do suchej nitki, zgłodniali i zziębnięci biegli na wódkę do szynku na wierzchołku wysokiej skały, do jaskini wszechwładnego «kułaka», który wszystek połów ryb i raków zabierał za owe ciepłodajne i ożywcze — *gouttes*.

W głębszym porcie Plumanach, obok tam i śluz, które niegdyś urządził «mr. Abdank» (Abakanowicz), zużywając do obracania młynów przypływ i odpływ morza, leżała na suszy duża, trzymasztowa łódź, nosząca miano „*Dzinia*“, od zdrobniałego imienia panny Jadwigi Sienkiewiczówny. Marynarz Jean Marie miał łódź w stałej opiece. On to dokonywał szparowania, zabijania szczelin i zalewania smołą wszelakich otworów w dnie statczku.

Jean Marie miał pilnego asystenta w osobie małego paryżanina. Po długich korowodach wstępnych, reparacyi masztów i żagli «*Dzinia*» zakotłowała się na falach rannego przypływu. Maje-

statycznie nastawiwszy przeciwko wiatrom swój żagiel przedni, czyli *Voile de misaine*, i dając wydąć trójkątny boczny — *foc*, — wyruszyła w wąską, skalną szyję i stanęła u tamy. Obowiązki *mousse'a*, chłopca okrętowego, pełnił pod rozkazami «kapitana» Jean Marie, uszczęśliwiony licealista. Zbiegał do dolnej kajuty, ciągnął i zwijał liny, wdrapował się na maszt środkowy i pilnował ulubionej kotwicy. Mając do obsługi żagli trzech marynarzy i dobrowolnego *mousse'a*, «Dzinia» wypłynęła z wąskich cieśnin, zakrętasów i przesmyków na pełne fale La Manche w kierunku Siedmiu Wysp. Na widowni morza leżą jedna za drugą skaliste, puste, nieurodzajne wysepki. Pierwsza z nich była celem wyprawy. W łodzi było siedm osób wraz z «załogą». Skoro wychylono się za ostatni cypel lądu, zadał od zachodu podmuch gwałtowny.

Fale były bardzo wysokie, pokryte grzywami żółtawemi. Wnet «Dzinia» przechyliła się na bok i poszła za wiatrem, chyżo, jak strzała. Zielone bryły fal szły wysoko ponad jej prawym *banc de rameurs*, a żagle muskały spienione czuby, leżąc niemal na powierzchni odmętu. Marynarze na bosaka biegali wokół łodzi po szerokiej burtnicy, z cudną sprawnością i nieźrównaną wiedzą manewrując żaglami, przerzucając z rąk do rąk liny, żeby łódź sprostować i nie dać jej wiatrom wy-

wrócić. Ich bretońskie okrzyki, dzikie, srogie, wiatrom morskim podobne rozkazy, bo wśród wichru i burzy wyhodowane, przerzynały powietrze. Jean Marie stał się istotnym kapitanem, a jego skinieniom byli teraz wszyscy podlegli i zupełnie posłuszni.

«*Mousse*» znalazł się w swoim żywiole: ukazywał się na ławach burtów, znikał w kajucie... Cóżby był dał za to, żeby mu było pozwolić zdjąć buty i ganiać wokół łodzi, imać w powietrzu liny, ciskać je z rąk do rąk i wykręcać huczące żagle! Wzrok jego był rozogniony, szczęśliwy i tak mężny nieświadomie, jak pewno u żadnej z osób na łodzi, którym mróz chodził po kościach na widok rozwierającej się zieleni odmętu i poziomego schylenia żagli. Gdy «*Dzinia*» przybiła do kamiennych osypisk w małej zatoczce pierwszej ze «*Siedmiu Wysp*», wszyscy doznali ulgi, wydostając się na brzeg. Na szczycie wyspy wznosi się latarnia morska i stoi domek strażnika. Z drugiej strony wyniosłego cypla pustej wyspy sterczą gruzy fortu, zbudowanego ongi za czasów Vaubana, strażnicy do pilnowania i pościgu piratów. Gruzy te zespoliły się ze skałą i stały jej częścią nierozdzielną. Wyrwami okien patrzą zło-wieszczco w bezbrzeżne wody i w śmiercionośne burze zachodu. Wicher w nie siecze, a krzaki

tamaryszku bujają na szczycie ruiny, jak pióropusz na rdzach hełmu. Niema na tej wyspie ani jednego drzewa. Krzaki żarnowca porastają w miejscach, osypiskami zasłoniętych od wiatru. Z pod każdego niemal krzaka wyskakiwał strwożony królik, jedyny, poza dwunogim strażnikiem, mieszkaniem pustkowia.

Powrót do Plumanach był jeszcze bardziej urozmaicony, niż droga na wyspę. Wiatr się wzmógł. Noc nadchodziła. Fale były daleko większe i łódź w nich nosiło z pieca na łeb. Gdy «Dzinia» dotarła wreszcie do ostoi Plumanach, miało się pojęcie o pobycie na morzu. Można było podziwiać manewry marynarzy, którzy umieją nastawieniem żagli zmusić łódź do pędzenia prosto na wiatr, albo wchodzić z nim niejako w kompromis, mknąc w zakosy z dziwną szybkością.

Gdy przybył z kraju w gościnę do państwa Pstrokońskich znakomity pisarz Henryk Sienkiewicz z żoną i synem, wycieczki łodzią powtarzały się coraz częściej. «Dzinia» raz wraz zdążała to do Perros-Guirec, do Port-Blanc, do Tréguier z katedrą świętego Yve'a, przedmiotu walki dwu Joann z domu Penthièvre, — to znowu powtórnie do fortu Vauban'a na pierwszej z Siedmiu Wysp Wielki pisarz nadzwyczaj lubił te wyprawy. Czasami całe towarzystwo udawało się do danego

punktu końmi, a powracano łodzią, którą sami marynarze dostawiali na miejsce wskazane.

Adaś przypadł nadzwyczajnie do serca Henrykowi Sienkiewiczowi. Pasya do przygód, poszukiwanie niebezpieczeństw, marzenie o wielkich wyprawach podobały się w młodzieńczyku znakomitemu narratorowi, który wtedy właśnie na wyspie Plumanach pisał swój świetny utwór dla młodzieży p. t. «W pustyni i w puszczy». Bohater nowej powieści tak się zespalał w umyśle pisarza z żywym chłopcem, iż często żywego Adasia Henryk Sienkiewicz nazywał przez pomyłkę — «Stasiem». W czasie powtórnej na Siedm Wysp wyprawy wsiadło do «Dzini» dziewięć osób, nie licząc załogi. Dzień był spokojniejszy, to też nikt w czasie tej wycieczki nie chorował na morską chorobę. W przerwach między jedną a drugą wyprawą morską odbywały się wędrówki piesze po okolicach, do odległych parafii na odpusty, czyli «pardon'y», gdzie podczas chłopskiej procesyi niosą las chorągwi białych z burbońskimi liliami, do zapadłych wioścyn z kamiennymi domami i samotnych «manoir'ów», budowanych z bretońskiego granitu. Mały «pony», konik hotelarza Padela, dobrze nieraz musiał się napracować, ciągnąc liczne towarzystwo po wyboistych, bocznych drogach.

Po upływie paru tygodni panna Jadwiga Sienkiewiczówna, niezrównana przewodniczka tych wypraw, odjechała z rodzicami na Litwę. «Mousse» pozostał jeszcze przez czas pewien w Plumanach, uczęszczając co ranka do miejscowej szkoły ludowej dla pobierania od nauczyciela lekcji języka francuskiego i odrabiania *calcul'ów*. Musiał nawet podczas wakacyi dopędzać kolegów, rodowitych francuzów. Należała mu się za tę pracowitość nagroda. Pojechał do Londynu. Końmi do pięknego Lannion, zabudowanego starożytnemi domami, pamiętającemi zapewne świetne czasy Armoryki, władców z domu Plantagenetów i Penthièvre'ów,— z Lannion niewiarogodnie starożytną koleją, pamiętającą niewątpliwie urządzenia i zaopatrzenie wagonowe czasów Fultona, dziwnemi lokomotywami i jeszcze dziwniejszemi wozami, gdzie kufferki zawiesza się na haczyku pod niskim sufitem, a na parasole trzeba baczyć pilnie, żeby nie powypadały przez wielkie, jak na tak małe wagony, dziury w podłodze, — dobrnął szczęśliwie po całodziennem terkotaniu kół do Saint-Malo. Tu nareszcie zobaczył prawdziwy port francuski, wielką plażę, obmurowane doki, angielskich «wilków morskich», wałęsających się w ciasnych uliczkach, a nadewszystko katedrę, którą już znał od dawna z «Roku 93» Wiktora Hugo, a teraz mógł

ją zobaczyć na własne oczy. Podziwiał na targu wielkie, niewidziane ostrzygi, które zaciekli smakosze zjadali tamże, na miejscu, zwiedził Grand-Bey, wysepkę, na której znajduje się grobowiec Chateaubriand'a, a nadewszystko czynił obserwacye nad metodami wprowadzania statków do basenów i wypuszczania ich na morze. Było to normalniejsze i spokojniejsze, niż z owym wielkim żaglowcem, naładowanym węglem, który burza przez kilkanaście dni nosiła w morzu, aż go rzuciła na brzeg w Tréguier, pod bokiem świętego Yve'a. Wspominał tamtych czarnych, zmordowanych marynarzy, gdy opowiadali swe przygody w łamanym angielsko-celtyckim języku.

Pod wieczór jednego z następnych dni wyjechał z Saint-Malo do Southampton. Pierwszy raz w życiu miał być na morzu czternaście godzin. To też nie chciał zasypiać w swej kajucie, żeby,—broń Boże!—czegoś ważnego nie prześlepić. W łagodnej mgle nocnej, a przy cudnem świetle księżyca, przez okrągłe okno kajuty, widział zarysy wyspy Jersey, około której statek szedł w swoją drogę. Mógł się napatrzyć morza w nocy, nasycić oczy widokiem fal, oświetlonych przez księżyc, pojąć w dziecięcą swą duszę nieśmiertelnie piękny urok samotni morskiej, pustki w obszarze wód i jej cudnego obcowania ze światłem księżyca.

Gdy rano wyszedł na pokład, zobaczył w morskim lazurze niewiarogodny cud świata, śnieżno-białą skałę, wystającą z odmętu: czarodziejską wyspę Wight. Wkrótce potem, wyminawszy to śliczne zjawisko, wpłynął do zatoki i do samego portu Southampton, w środowisko, rozbrzmiewające na przestrzeń daleką od straszliwego łoskotu pracy, huku młotów, ruchu, gwałtu, pośpiechu, świstu i wrzawy. Zobaczył olbrzymie cielska pancerników, śniące leniwie w dokach, jak słonie na łące,—i pierwsze w życiu miasto angielskie. Przesiadłszy ze statku wprost do wygodnego wagonu kolejowego, pomknął do Londynu. Nie zatrzymując się ani razu, pociąg z Southampton był we dwie godziny na stacyi Waterloo.

Pierwszy, szczęśliwie przeprowadzony dyalog z fiakrem, i oto Adaś jechał przez Londyn, widział zdala Westminster i pałac Buckingham, oraz czerwonego gwardzistę, w olbrzymiej, futrzanej czapie, maszerującego, jak lalka na sprężynach, przed drzwiami króla Anglii. Przebywszy ogromną przestrzeń parków, znalazł się na placu Speperds Bush Green, na trzeciem piętrze *boarding-house'u* i mógł się położyć do wygodnego łóżka. Wkrótce nachyliła się nad nim najmiłsza, najweselsza, wiecznym ozłocona uśmiechem twarz Bronisława Piłsudskiego, który w tymże hotelu

oddawna rezydował. Hotel pełen był japończyków, którzy wielkim tłumem przybyli na wystawę japońsko-angielską. To też przy porannych śniadaniach nie brakowało paryżaninowi obserwacy nad wszelkim gatunkiem japońskich potworków. «Broniś» Piłsudski mówił językiem długozębnych gryzoniów, jak rodowitym polskim. Zaczęło się zwiedzanie Londynu, wystawy japońskiej, nieustanna jazda wygodnym *cab-em*, trzęsącemi *bass-ami* i dymiącą koleją podziemną do najrozmaitszych punktów niezmiernego miasta. Tower, Westminster, Kew-Garden, Zoo-Garden, British-Museum, Kensington, Muzeum Indyjskie i Kolonii, Galerya narodowa, Tate, Wallace, — wstępowanie na wieżę Monument, ażeby obejrzeć z wysoka horyzont, zajęty przez miasto, — wycieczki Tamizą do Richmond, gdzie Adaś zażywał rozkoszy wiosłowania, — zwiedzanie zamku królewskiego w Windsorze, wycieczka do ślicznego Hampton-Court z niezrównanym ogrodem kwiatowym, cisowemi alejami i pustkowiem, gdzie błądzą stada jeleni, — nadewszystko jednak posiedzenie parlamentu i wsłuchiwanie się w mowy Asquith'a i Lloyd'a George'a, podówczas ministra skarbu. Widok speakera w peruce, który ją sobie, jak czapkę niedogodną, przekrzywiał z ucha na ucho, nadewszystko z angielskiego parlamentu

został w pamięci wesołego chłopca. Na wystawie japońsko-angielskiej wśród mnóstwa najrozmaitszych cudunków, wyprodukowanych przez dwie wyspiarskie kultury, była również rodzina ajnosów z Sachalinu.

Bronisław Piłsudski, niegdyś «król ajnosów», a opiekun wszystkich «uciśnionych plemion», był, oczywiście, ojcem, dobrodziejem, obrońcą i sędzią ajnosów w Londynie, mówił bowiem ich językiem równie płynnie, jak po japońsku, po angielsku, po francusku, po rosyjsku i po polsku. Wśród brodatych ajnosów i ajnosek z zawieszonymi wąsami, wytatuowanymi na górnej wardze, na policzkach, aż do uszu, było również kilkoro dzieci, a jeden chłopczyk w wieku Adasia. Z tym ajnoskiem pan Bronisław zapoznał paryskiego licealistę i dwaj młodzi ludzie chodzili ze sobą, «rozmawiali», doręczali sobie nawzajem różne podarunki, bawili się, ścigali, grali w namiocie w jakąś ajnoską grę, podobną do szachów. Anglicy i angielski, które pod wpływem agitacji Bronisława Piłsudskiego, popadły już w zachwyt dla ajnosów i zawiązały towarzystwo specjalne dla badania tego plemienia i opieki nad niem zwiedzając obozowisko i zaglądając do namiotu, gdzie malcy grali zawzięcie, jeśli pokazywać ich sobie, jako «chłopców ajnoskich», grających w grę

narodową. Był nawet fotograf, który tę scenę sachalińską gotów był uwiecznić. Wówczas ajnos mniej zupełny uciekł na drugi koniec wystawy.

Największą przyjemność sprawiło małemu wędrownikowi zwiedzenie wielkich doków w Trillby-Dock. Mógł dokładnie obejrzeć ogromny transportowiec, który za parę dni miał wyruszyć do Australii. Napasł tu oczy kształtem całego statku, mógł wleźć pod jego spód, gdyż potwór stał w doku na suchym lądzie, obejrzeć jego niewidzialne dno, kotwice, śruby, maszyny, schody, urządzenie niezrównanych kajut jednej tylko klasy, sale wszelkiego rodzaju, kuchnie i maszty. Widział tam również przedstawicieli rozmaitych ludów południa indyjskiego, syngalezów, australczyków, malajów i «najprawdziwszych» murzynów. Nieprawdopodobnego znowu murzyna słyszał przemawiającego do tłumu przy Marble-arch w «rogu» Hyde-Parku — o konieczności ateizmu. Ta mowa murzyńskiego inteligenta miała za akompaniament psalmy, śpiewane fałszywemi głosy przez starego jakiegoś sekciarza, dwie damy wiekowe i pewnego młodzieńca o suchotniczym wyglądzie. W dniu świąteczne przypatrywał się nabożeństwu w rozmaitych kościołach i zborach — u anglików, anabaptystów, baptystów i t. p. Zarówno w dniu powszednie, jak świąteczne wyrywał się do «warja-

tek», czyli teatrów *variety*, gdzie sztuki kłownów i rozmaite dziwowiska, jak latające pianina, rekordy, tresowane zwierzęta i inne nadzwyczajności zajmowały jego uwagę.

Znaczna część wakacyi już upłynęła i trzeba było mieć się ku Paryżowi. Ruszono tedy w drogę powrotną, znowu ku Southampton koleją i statkiem do Saint-Malo, a stamtąd kolejami na Rennes do małej miejscowości Foret pod Fouenant nad zatoką Concarneau. Pokoik małego podróżnika mieścił się teraz we dworze, zwanym szumnie „*château*“ pana de S. szlachcica lotaryńskiego, którego przodkom król Stanisław Leszczyński nadał dyplom szlachectwa. Dyplom ów, oprawiony w odpowiednie ramy, wisiał w parterowym salonie, nigdy nieprzewietrzanym i rzadko otwieranym, gdzie stały meble w pokrowcach i krążyły mole.

Dwór ów stał w głębi owocowego ogrodu, który oddzielony był od ulicy grubym i wysokim, niemal fortecznym murem. Zamczysta brama prowadziła do tego ogrodu, a każde otwarcie i zamknięcie furtki poruszało dzwon, który, w razie potrzeby, mógłby wisieć i obsługiwać parafię na kościelnej dzwonnicy. Szlachcic lotaryński grunta rozprzedał, część mieszkania wydzierżawiał letnikom, a z dawnych praw, czy zajęć feodalnych utrzymał się jedynie przy wyrobie *cidru* z nie-

dojrzałych jabłek. Względem polaków, dzięki nigdy niewygasłej wdzięczności dla króla Stanisława Leszczyńskiego, żywił szacunek tak dalece wpędzający w zakłopotanie, jakby każdy przedstawiciel nieszczęsnego plemienia z nad Wisły był kandydatem na tron, conajmniej lotaryński. Z okien na pięterku widać było ogromną zatokę Concarneau, wiecznie upstrzoną niezliczonymi łodziami poławiaczów sardynek, — miasteczko Forêt, z jego domami, z których każdy mieścił w sobie, jeżeli nie jawną, to skrytą *buvette'kę*, — liczne zatoki, odnogi i szyje morskie, głęboko w ląd sięgające, — liściaste gaje, aleje i drogi, obrośnięte żywopłotami z jeżyn, wille po wzgórzach, a nadewszystko rozległe pola pszeniczne. Ten południowy zakątek Bretanii, zasłonięty od wichrów północnych półwyspem Finisterre, miał klimat ciepły, niemal południowy. Znalazło się tam liczne towarzystwo polskie z Paryża i kraju. Byli dwaj bracia Jarkowscy, dr. Jan, lekarz paryski, i inżynier Witold, później profesor aeronautyki w politechnice petersburskiej, zamordowany wreszcie, jako zakładnik przez bolszewików. Podówczas inżynier Witold ukończył w Paryżu swe ponowne studia i, jako pierwszy elew kursu awiatyki w Sorbonie, wykańczył w Forêt swe czterotomowe dzieło, teorię i praktykę no-

woczesnego lotnictwa. Adaś znalazł w Foret liczną kolonię młodzieży z kraju i Paryża. Codziennie otwierały się perspektywy wypraw wielkimi i małymi łodziami do czarodziejsko pięknych dolin w stronie Rosporden, obrosłych bukami i dębami, lipą i klonem, wąskich szczelin między wzgórzami, zalewanych dwakroć dziennie przez przypływ. Można było z przypływem wkra-
czać daleko w głąb lądu, bawić się na odległych wybrzeżach, a gdy odpływ nastawał, dać się mu unosić aż do mielizn pod Faret. Owe mielizny, zdiary i wysypiska dawały tam i sam doskonałe miejsca do kąpieli, to też Adaś kąpał się i uczył pływać. Gdy inżynier Witold, poufale zwany «Tolem» przez młodzież, której był nie-
zrównanym przyjacielem i towarzyszem zabaw, siedział kamieniem nad swem dziełem, dr. Jan zabierał trzyletniego synka Jasia, braci Lasotów, braci Pomagalskich, pana Mieczysława Grün-
bauma, przechrzczonego na pana «Miodka Drym-
bała», — i wyruszał z całą czeredą to tu, to tam, łodzią do którejkolwiek z zatok, lub pieszo do prześlicznego, starego, gotyckiego zamku na wzgórzu, który posiadał chłop wzbogacony i zamienił na skład gnoju i siana. W czasie jednej z wycieczek łodzią, gdy po kąpieli używano set-
nie na zabawie gry w piłkę, strzelania do celu,

wyścigów i igrzysk na plaży pod Fouenant, spostrzeżono zapóźno, iż morze odchodzi, a uwiązana łódź, kołysząca się powabnie na bujnej fali, osiadła najspokojniej na kupie piasku. Wieczór zapadał. Trzeba było ze wszystkimi dziećmi, chłopcami i dziewczynkami, albo wśród przebywać mielizny i błota zatoki, co mogło być niebezpieczne, gdyż głębia nie była znaną, albo obchodzić długą szyję zalewiska w dwumilowym conajmniej pochodzie. Próbowano gonić uchodzące wody morza, niosąc dużą łódź na ramionach. To jednak było nad siły młodzieńców, a nawet mężów dojrzałych. Wówczas Adaś wpadł na dowcipny pomysł, żeby okrągłe drzewca grubych tamtejszych wioseł, podkładać pod płaskie dno łodzi i kolejno je zmieniając, popychać, jakby na walcach. Dojrzali mężowie posłuchali tej rady i oto ciężka łódź, spychana siłą zbiorową, szybko pomknęła po przemokłych piaskach i błotach, niczem na kołach. Udało się dogonić odpływ, dotrzeć do głębi, odepchnąć łódź wiosłami od mielizny i, brodząc w wodzie, wsiąść ze wszystkimi dziećmi do wnętrza.

Niestety! I tutaj uczeń, liceum Montaigne'a musiał uczęszczać na lekcye do nauczyciela miejscowej szkoły, a nawet, zdążając do kąpieli pod cienistymi alejami Foret, albo na spacer z ojcem

w okolicy, ćwiczyć się w sztuce szybkiego liczenia, uprawiać francuski *«calcul mental»*. Za to, gdy odrobił swe lekcye, z jakąż to radością wiosłował z towarzyszami, albo sam, wyrtając wiosłem na tyle łodzi — *«en godillant»*! Gdy żżęto zboża i zaczęły się zabawy wiejskie, tańce na placu przed merostwem, przypominające zarówno kontredans, jak, poniekąd, mazura, przy dźwiękach kobzy i piszczałek, igrzyska bretońskie w strojach narodowych, przestrzeganych ściśle, walki najsilniejszych parobków, odpusty i fety rybackie na morzu, Adaś miał codziennie coś nowego do obserwacji. Po kilkakrotnem zwiedzeniu Concarneau z jego staremi bastyonami i murami, które niegdyś pilnowały wejścia do miasta, — gdy ta zatoka chłodem już tchnęła, Adaś udał się dla zażycia jeszcze kąpieli morskich bardziej na południe, na półwysep Quiberon, do miasteczka tego nazwiska. Tu, w hotelu *«France»*, przy wspólnym stole słyszał mówiących i widział pijących wyższych i niższych oficerów marynarki. Z wybrzeża obserwował codziennie manewry floty, wyruszającej z portu na pełne morze, wielkie pancerniki, krążowniki, torpedowce i antitorpedowce. Wnet umiał na pamięć ich nazwy i powziął o nich istną wiedzę tajemną, zbiór niemały wiadomości wszelkiego

rodzaju, którym mógłby zaimponować niejednemu dorosłemu. Cały półwysep Quiberon zdeptał w czasie wycieczek, zliczył wszystkie *menhiry*, które stróżują jeszcze na cyplach tego małego lądu, a nawet lekką swą stopą przesunął się tuż na pograniczu obszaru piasków ruchomych za portem Penthièvre. Kąpiele, wędrówki po skałach wybrzeża i wycieczki wypełniły małemu ten interesujący czas pobytu w Quiberon.

Zwiedzał wielkie hale rybne po połowie, zwożonym z oceanu i z «małego morza», — badał szczegółowo wielkie kamienie, czyli *menhiry* i płaskie kamienie, czyli *dolmeny*, świątynię centralną pod Carnac i aleje kamienne, idące stamtąd w głąb lądu, długie drogi, wyznaczające pielgrzymie szlaki dawnych celtyków, na tysiąc lat przed erą chrześcijańską. Odbył wycieczkę końmi do Locmariaquer, stolicy dawnych Wenetów, żeby zobaczyć wielki dolmen z wyobrażeniem słońca, wołu, ciągnącego pług i oracza za pługiem. W Saint-Anne-d'Auray, świętym miejscu dzisiejszych bretonów, widział tajemniczy czarny posążek, czczony przez całą Armorykę, krainę morza. W Carnac miał codziennie coś innego do zbadania. Dziś tedy prastarą świątynię Saint-Michel z czterokroć starszym pod nią *tumulus'em* celtyckich bohaterów, — nazajutrz muzeum sta-

rożytności bretońskich, kiedy indziej miejsce po-
mania Duguesclin'a, albo pole bitwy generała
Hoch'a, z arystokratami, łakę tracenia kwiatu
arystokracji francuskiej przez republikanów, grób
ich pospólny... Nadewszystko jednak pamiętną
się dlań stała wyprawa na wyspę Belle-Isle-en-
mer. Przybywszy statkiem do jej wschodniego
portu i zwiedziwszy stare fortyfikacye, pojechał
końmi wpoprzek wyspy do willi Sary Bernard,
willi przerobionej z dawnego obronnego ba-
styonu, — a następnie do wielkiej groty, poło-
żonej na zachodnim brzegu wyspy. Widział tu
z urwistego przylądka po raz pierwszy bezbrzeżny
Atlantyck, zanurzył swe jasne oczy w błękit, jak
go Juljusz Słowacki nazywa, w wieczność po-
ciągający «błękit Kolumba». A gdy śliskimi
i stromemi ścieżkami zstąpił ze skał, zobaczył
jeden z najwspanialszych cudów świata, grootę...

Wąskimi przesmykami, na których w czasie
przyływu fale się przelewają, błędzą cielska me-
dusz i śliskie brzuchy ryb, zeszedł do wnętrza
ciemnej, zielonej pieczary, zajrzał w olbrzymią
wielopiętrową jaskinię, idącą głęboko w kamienne
trzewia lądu, — wsłuchał się w infernalną sym-
fonię oceanu, uderzającego w wydrążone mury,
ślepe i niedosiężne pustki tej groty. Jęk i płacz,
wzdychanie i straszne, nigdy już nie pocieszone

zawodzenie ojca nad świeżym grobem ukochanego, jedyne go syna, — krzyk matki, oszalałej z bóleści, ryk przemocy nad bezsilnością, hejnał radosny, ślepej i dzikiej przyrody, która miliony żywotów wytraca, aby milion nowych, potomnych, na śmierć niedługą skazanych, powołać z uśmiechem i siłą — i sam głuchy łoskot topora śmierci, — słyhać było, gdy się przypływający ze swoich otchłani ocean ciskał wszechwładnie między pustki, schody i harfiane głębie groty...

Mały synek, uczeptiony do strwożonej ręki ojcowskiej coś mówił wtedy, stojąc na wysokim, granitowym, śliskim chodniku, — coś mówił, czego nie można było wśród huku wód dosłyszeć i zrozumieć...



Nauczycielem klasy ósmej był pan Haranger, wysoki, okazały mężczyzna, z długą brodą, nadzwyczaj miły w obejściu i dobrotliwy. Jesień i zima przeszła spokojnie, bez chorób i przygód, wśród pracy nieustannej, lecz nie tak już uciążliwej i forsownej po opanowaniu języka francuskiego i wdrożeniu się w system szkolny liceum Montaigne'a. Zahartowany w czasie lata Adaś, na wzór kolegów, chodził z obnażonymi nogami, w lekkiej pelerynce, tylko szyję i nos,

stosownie do mody, obowiązującej w liceum, chowając w obfity i ciepły *cachez-nez*. Wynikiem pracy były obiedwie pochwalne *Tableau d'honneur* a nawet wypisanie nazwiska w przedsionku liceum na tablicy odznaczonych. W tym roku szkolnym uczęszczał prawie co niedziela na zabawy z dziećmi polskimi do «Biura pracy», założonego świeżo w celu jednoczenia kolonii polskiej i przeciwdziałania wynaradawianiu się dzieci, — bywał w teatrach i na koncertach, na zabawach i w operze paryskiej, gdzie jednak podczas «Tristana i Izoldy» sromotnie zasnął. Za to na pewnym dziecięcym balu kostyumowym, w przebraniu za generała Józefa Sułkowskiego uzyskał wyróżnienie. Stara już przyjaźń z Pailletem zamieniła się na zupełne braterstwo. Z profesorem Harangerem był w jaknajlepszej komitywie, otrzymywał od niego pochlebne wyrazy uznania za pracowitość, posłuszeństwo, grzeczność i dobre sprawowanie się, a przy końcu roku szkolnego własnoręczny sztych nauczyciela, który był niepoślednim artystą miedziorytnikiem, z napisem na egzemplarzu *avant la lettre*: «*A Adam Żeromski souvenir de la huitième. Haranger*». Na wiosnę Adaś przedsiębrał wycieczki do Fontainebleau, Chantilly, Chaville i t. d., gdzie mógł zażyć spaceru w wielkich lasach. Na czas wa-

kacyjny wyruszył w inną stronę, na południowy zachód Francyi, do miejscowości Saint-Palais-sur-mer, położonej w sąsiedztwie miasta Royan, przy ujściu Girondy do oceanu. Jest to miejscowość mało znana, nowo powstająca, z niewielką plażą w skalistej zatoce. Dalej na północ od niej ciągnęły się ogromne, na przestrzeni kilkunastu kilometrów piaszki *Grande-Côte* wzdłuż wielkiego lasu sosnowego, który zasadzono na piaskach departamentu Charante Inferieure za czasów i z rozkazu Napoleona Pierwszego. Rzeka Gironda, wynosząc swe obfite wody z głębi gór i z dalekich łądów spotyka się w szerokim swym ujściu z przyływami oceanu, to też powstają tam nadzwyczajne korowody prądów, które po odejściu przyływu zostawiają na wybrzeżu wciąż nowe, codziennie odmienne wzgórza piasków, ławic i grzbietów. Częstość w nocy huk oceanu podobny jest do grzmotu. Adaś cieszył się widokami i wciąż obserwował nad morzem najrozmaitsze jeno fenomeny. Ćwiczenia artyleryjskie, gdy działa morskie na odległość kilkunastu kilometrów do celów, ustawionych w głębi estuaryum, wyrzucały od pocisków wysokie słupy wody, — loty aeroplanów nad plażami, rozlewiskiem Girondy i przeciwległym wybrzeżem Médoc'u, — ruch nieustanny statków wojennych

pasażerskich, handlowych, na czem znał się doskonale, — pochłaniały jego uwagę, gdy tylko uwolnił się od lekcji z nauczycielem tamtejszej szkoły, którego towarzystwo musiał wciąż jeszcze podczas wakacji znosić obok siebie. Wycieczki do Royan, na wyspę Oleron, przez wielkie napoleońskie lasy, statkiem poprzez zatokę i wpoprzek wyspy na piechotę, kąpiele, zabawy na plaży z rówieśnikami, pływanie łodzią i spacer po nadbrzeżnych skałach wypełniały jego dni letnie. Pewnego razu, po zwiedzeniu wielkiej nowej latarni morskiej w Coubre, która rzuca światło na odległość sześćdziesięciu kilometrów w burzliwe otchłanie morskie, wybrał się z ojcem na spacer plażami po odpływie, wzdłuż obnażonych przylądków, które tam właśnie szły na pograniczu sfery wpływów Girondy i oceanu daleko, jak oko dosięgło. Zagadawszy się o najrozmaitszych sprawach, obadwaj spacerowicze nie spostrzegli, że na mieliznach jeszcze głębiej w morzu odsłonionych, fale poczęły pienić się, szumieć i wzdymać. Dopiero szum z obydwu boków piaszczystej łąchy, po której szli, a nawet na jej tyłach, otrzeźwił nieopatrznych. Rzucili się do ucieczki i wrywali co tylko sił starczyło, gdyż zielony wał morski był tuż tuż za nimi. Piaski znikały w oczach, a ogrom wody rzucał

się na wyniosłe niedawno wzgórze od jednego podskoku. Popadłszy w jakieś krzaki i algi, zaledwie zdołali na czas unieść życie. Wyszędłszy wreszcie na brzeg zmordowani doszczętnie, leżąc na wysokiej już wydmie, ujrzeli przed sobą ruinę najdziwniejszą; starą latarnię morską Coubre, wieżę olbrzymią, z głazów granitowych i bloków, spajanych żelaznemi klamrami, którą ocean strącił był z brzegu, iż runęła w węń, jak drąg obalony ciosem siekiery, rozleciawszy się na drobne bryły. Widzieli wówczas, jaka jest siła i jaki gniew morza, z którego objąć dopiero co przed chwilą uciekli. Kiedyindziej, wybrawszy się łodzią dla zwiedzenia urządzeń i maszyn starego pancernika «Danton», który stał w zatoce, doznali innej przygody. Łódź była długa, jednomasztowa, na kilkanaście osób, bez przewoźnika. Znalazł się w tej łodzi dawny znajomy z Foret dr. Jan Jar-kowski z żoną i synkiem Jasiem, dr. Rafał Ra-dziwiłłowicz i Adaś z ojcem. Gdy wyruszono z Saint-Palais była prześliczna pogoda i wiosłowanie nie stanowiło żadnej trudności, a sterowanie, któremu Adaś oddawał się z zapalem, jeszcze mniej. Zwiedzanie statku wojennego długo trwało. Gdy zaczął się przedwieczorny przypływ, zadał z morza wiatr silny. Fale stawały się co-raz wyższe, a gdy łódź docierała do brzegu,

przybrały rozmiary potworne. Były to istne skały zielone, półkolisto zatoczone, świszczące na swych szczytach wściekłemi pianami. Łódź stawiała niemal pionowo, zlatując to dziobem swym, to sterem w rozpadliny wodne. Przyptyw, a zwłaszcza wicher niósł ją bez wiosłowania. Cała teraz sprawa spoczywała w ręku młodego sternika. Czynił rzecz swoją mężnie, przytomnie i sprawnie. Łódź dostała się szczęśliwie do zatoki Saint-Palais. Widać już było w głębi plażę i ludzi na niej zgromadzonych, ale wobec rzutów ogromnych bałwanów trudno było myśleć o wylądowaniu na piasku niskiego wybrzeża. To też «kapitan», dr. Jarkowski, postanowił przybić do skalistego brzegu i tam wejść łodzią do jednej z małych ostoi wodnych. Dał tedy rozkaz sternikowi, żeby zwrócił łódź na lewo. Był to w gruncie rzeczy plan fatalny, gdyż łódka, zamiast przecinania fal sobą, stanęła bokiem do olbrzymich bałwanów. W jednej chwili cała «załoga» łodzi ujrzała nad sobą jakgdyby sklepienie zielone, zawinięte do wewnątrz i ziejące rozszałałą pianą. Wielki bałwan runął na łódź, wywrócił ją, a zawartość wysypał na dno morza. Gdyby nie maszt łodzi, który się oparł o dno już w tem miejscu dostępne, kadłub byłby się wywrócił do góry dnem i nakrył sobą pasażerów. Na szczęście,

już gruntu, można było dosięgnąć nogami. Adaś i jego ojciec spotkali się w głębi na mocy dziwnego pchnięcia instynktu i pochwycili rękami. Nowa olbrzymia fala przypływu pchnęła ich dalej i wyrzuciła na miejsce płytsze, gdzie już mogli stanąć po pas w wodzie. Wylazłszy na brzeg, ujrzeni towarzyszków niedoli, którzy, jak meduzy, nurzali się w bujnych falach, a następnie wstępowali na wybrzeże w postaci zaiste godnej pożałowania. Rybacy zajęli się wyciąganiem łodzi, a publiczność, zgromadzona na plaży, obserwowaniem obcisłych kostyumów i ślicznie wyglądających figur topielców.

Te i tym podobne urozmaicenia pobytu na piasku nadmorskim trzeba było przerwać w samym środku lata i wśród niesłychanych upałów gnać kolejami do Szwajcaryi, gdzie ojciec Adasia powołany został gwałtownemi i natarczywemi telegramami T. T. Jeża, Kopery i Maryana Jasieńczyka, jako świadek w tak zwanym «procesie rapperswilem». Dobry Adaś towarzyszył ojcu. Droga wypadła na Paryż, Bazyleę, Zurich. Ohydna niesprawiedliwość, wyrządzona wówczas ojcu, który bronił muzeum polskiego od zalewu falsyfikatów i najrozmaitszych paskudztw, a w sposób bezecny został przez «sąd» skrzywdzony, głęboko dotknęła szlachetnego chłopczyka. Pier-

wszy to raz w swem życiu na własne oczy zobaczył i na własne uszy usłyszał, jakie to mogą być sądy i wyroki rodaków i co może z człowiekiem zrobić zorganizowana i wyćwiczona banda. Z uśmiechem pogardy, w milczeniu przypatrywał się rozmaitym panom, dygnitarzom i matadorom, którzy wówczas zaciekle bronili prawa do fałszowania pamiątek i zabytków narodowych, za wszelką cenę postanowiwszy utracić jakąkolwiek krytykę. Za to złożył wieniec na płycie grobowej jego przeznacności Henryka Bukowskiego, który śpi tam pod murem rapperswilskim w zamkowym ogroju. Nie znał go i nie widział, lecz zdawna kochał, a obcowanie z tamtym cieniem równoważyło chamstwo żyjących. Jeżeli co jeszcze łagodziło nieznośne uczucia chłopca w tym czasie, to wycieczki łodzią po cichem jeziorze zurichskim do wysepek, Inselau i Lutzelau, schronienia Ulricha von Hutten, — w kierunku Stäfy, mieszkania Göthego, lub pod górę Etzel, gdzie swe posłania do braci układał Andrzej Towiański. Niemalą radość sprawiło mu poznanie Teodora Tomasza Jeża, starca podówczas niemal stuletniego, który jeszcze trzymał się krzepko i żwawo walczył z «batignolczykami». Rycerski starzec opowiadał dwunastoletniemu, marzącemu chłopcu o roku 48-ym na Węgrzech,

o generale Bemie i generale Dembińskim, o powstaniu 63-go roku, o bitwach, marszach, noclegach w polu, o przygodach i wesołych faceciach wojennych. W sali hotelu «Zum Schwan» można było widzieć dziwną scenę: starca i chłopca, pochłoniętych przez sen, który się jednemu śnił, jako miniona sława, a drugiemu, jako jej utęsknione pragnienie. Gdy proces został kapitalnie i najsromotniej przegrany, Adaś powrócił do Saint-Palais na resztę wakacyi. Z podwójnym zapalem chwycił szczęśliwe dni nad morzem, pływał łodzią do starej latarni morskiej z czasów Vauban'a, Tour de Cordouan, stojącej na pograniczu ujścia wód Girondy do morza. Zwiedził ją całą, od podstawy, kaplicy i wielkiej sali do szczytu, wwiadując się w zeszłowieczne urządzenia tego dzieła morskiego. Z wygodnej galeryi Tour de Cordouan mógł zobaczyć całkowitą konfigurację wybrzeży, rzucić okiem w głąb oceanu i w głąb Girondy, krainy hugonotów i giron-dystów.



Po powrocie z letnich wywczasów, w klasie siódmej, obok pana Haranger, objął niektóre lekcye profesor Leman. Przybyła historia i geografia Francyi, oraz język niemiecki. Siódmo-

klasista, posiadłszy już teraz francuszczyznę nie tylko pod względem obfitości zwrotów i poprawności pisowni, ale i co do akcentu zupełnie paryskiego, zaczął troszeczkę francuzieć. Czytał z upodobaniem francuskie książki i pisma dla młodzieży, nasiąkał uczuciowo zanadto Francją, jej przeszłością i dzisiejszą kulturą. Zresztą niektóre zasoby wiadomości były, poniekąd, balastem dla polaka. Tak, na przykład, wyuczanie się na pamięć z geografii Francji szeregów miast departamentowych, stacji kolejowych i t. p., co należało do obowiązków dobrego ucznia liceum francuskiego, obciążało niepotrzebnie pamięć, a działało się ze szkodą wiadomości o Polsce. W tym czasie otrzymał od p. Izy Zielińskiej «Dictionnaire» Larousse'a, a od pana Jana Lorentowicza «Napoleona» w opracowaniu Ernesta Łunińskiego. Te dwie książki stały się nieodstępnymi jego towarzyszkami. Skoro tylko posłyszał w rozmowie, lub przeczytał nazwisko, datę, szczegół, fakt dlań niejasny, rzucał się do swego Larousse'a i z nosem utkwionym w tej książce, trawił godziny. W zimie zachorował na licealną «rougeole», odrę, której wielu jego kolegów poprzednio uległo. Niepożądane następstwa tej choroby zmusiły go do wyjazdu na czas pewien do Chevreuse pod Paryżem, gdzie na spa-

cerach spotykał się z kochanym panem Józefem Rufferem, który tam zapracowywał się wówczas tłumaczeniami z angielskiego, — i ze szczerym przyjacielem Polski, Paul Cazin'em, który pono śpi już w ziemi nad świętymi wodami Marny. Mimo tych przeszkód w nauce, ukończył z doskonałemi *Tableau d'honneur* klasę siódmą i otrzymał świadectwo, w którym *«Le Proviseur... certifie que l'élève Żeromski Adam... a suivi au Lycée Montaigne classes de 2-e a. p., 8-e et 7-e du 1-er octobre 1909 au 31 juillet 1912. Certifie en outre que sa conduite a été très bonne et son application très satisfaisante»...* Trzeba już było Paryż opuścić, rozstać się z Liceum, nauczycielami i kolegami, a nadewszystko z Fernandem Pailletem. Adaś udał się przez Berlin do Krakowa, a po pewnym tam pobycie do Nałęczowa. W Krakowie otrzymał rower zdawna upragniony. Na tym rowerze jeździł po górnej «słonecznej» alei w zakładzie, a na «Łysce», klacze swego chowu, do Strzelec za Nałęczowem. Powitał go niebieski świerk, który wyrósł na prawdziwe drzewo, modrzewie i jabłonie, sosny i jodły. W szafie znalazł farby i dużo ciekawych książek. Codzień porządkował ten zbiór i czytał wszystko od deski do deski. Gdy malarz Kazimierz Młodzianowski przybył dla dokończenia swego pięknego fresku w sali

szkolnej, pozował do jednej z figur, przypatrywał się tej pracy i szczerze się nią zachwycił.

Po liceum Montaigne'a, gdzie nauka była podawana w sposób wymagający i obowiązujący, z użyciem i zastosowaniem metod, opartych na wieloletniem doświadczeniu, gdzie nie tylko zalecano dobre obyczaje i doskonałe formy ludzkiego współżycia, lecz gdzie nauczyciele sami byli ludźmi dobrego wychowania, pedagogami w istotnem znaczeniu tego wyrazu, gimnazyum krakowskie ukazało się, jako bardzo przykra niespodzianka. Koledzy — byli to przeważnie chłopcy starsi, ordynarni, zepsuci, łobuzy, a niektórzy istne chamy i draby. Nauczyciele używali w szkole wyrazów prostackich, nieraz wstrętne haniebnych w ustach «pedagoga», np. — «ty mendo»! «hyeno wyborcza», «kundlu», «gnypie», «wałkoni!» — nie mówiąc już o wszelkich metaforach, jak — «ośle, durniu, małpo!» — i tym podobnych barwnych admonicyach, soczyście przeplatających pedagogikę podwawelską. Wróciwszy ze szkoły «zfrancuziały» wychowanek zadawał kłopotliwą prośbę o wyjaśnienie, co znaczy wyraz — «menda», — którego pan nauczyciel sownie zażywa w przemowach do uczniów. Nie było tam, oczywiście, ani cienia współżycia nauczyciela z klasą, żadnej ufności, żadnych «ro-

mansów». Nauczyciel i «osły» z klasy były to dwa wrogie, nienawidzące się obozy, dwie wrogie siły, stojące sobie na zdradzie. Donosy, skargi, szpiegowania, kary, zemsty, ucieczki, podstępny, drwiny i cyniczne traktowanie się nawzajem. Pożałował mały polaczek swego francuskiego liceum gdzie o jego zdrowie, naukę, myśli a nawet uczucia dbano, gdzie go poczytywano za małego wprawdzie, ale człowieka, gdzie gdy kto zasłabł, choćby bardzo niewinnie, to go nie puszczono na ulicę, lecz natychmiast telefonowano po rodziców, a pacyenta umieszczano w infirmerii, gdzie wszystko a wszystko oparte było na prawach i zasadach i gdzie grzeczność była jednym z najgłówniejszych praw i obowiązków... W Krakowie nauczyciel «odwalał» godzinę, kończył swój austriacki «kawał», bez czego nie wypłacanooby mu miesięcznej pensyi, — i szedł w swoją stronę. Uczniowie mniej lub więcej sprytnie nabierali belfra i szli w swoją stronę, rozmyślając nad tem, w jakiby sposób jutro nabrać go jeszcze lepiej, lub podejść jeszcze sprytniej. W klasie swej Adaś znalazł się na jednej ławce z kolegą Janem Axentowiczem. Od pierwszego poznania zbliżyli się ze sobą i zaprzyjaźnili na zawsze. W nauce matematyki i w rysunkach technicznych dawał mu korepetycye i pomagał starszy

kolega, Witold Płoski, młodzieniec wielkiej wartości, z którym też dozgonną zawarł przyjaźń. Rekompensatę moralnej niższości szkoły krakowskiej stanowił do pewnego stopnia — skauting.

Zaraz we wrześniu, po przybyciu z Nałęczowa, Adaś wstąpił do drużyny skautowej, zaopatrzył się we wszelkie utensylia i oznaki. Poszukiwał w Krakowie czegoś wyższego i lepszego, a tego w szkole nie było. Niestety, po pierwszym zaraz ćwiczeniu na większą skalę, w listopadzie, gdy żarliwy, lecz nieogłębny kierownik przegnał swój młodociany zastęp obarczony ciężkim ładunkiem, w pospiesznym marszu i biegu z Krakowa na Bielany z rozmaitemi przypadaniami w mokrych rowach, defiladą po błotach i podmokłych rolach, gorliwy adept krakowskiego skauta wrócił do domu z gorączką, nazajutrz dostał zapalenia opłucnej i przypłacił swój zapał wojenny ciężką, paromiesięczną chorobą. Zaczny doktor Wespański wydobył go niestrudzoną swą opieką z tej niedoli, pomoc osób przyjaznych, a nadewszystko dobrej pani Wandy Lilpopowej, starała się urozmaicić wszelkimi sposobami strasznie ciężkie dni gorączki we mgłach, oparach i deszczach krakowskich, ale już młody organizm otrzymał wtedy pierwsze bezlitosne uderzenie. O, wielki smutku dziecięcy, głęboki smutku Adasiowy, jakież cię opis wysłowi!

Kazano po opadnięciu gorączki opuścić Kraków i wyjechać do Zakopanego. Trzeba było przerwać naukę i werandować na Bystrem w domu braci Kornilowiczów. Siły powoli wracały. Uzbrojony w ciężkie buty, nabite gwoździami niewiarogodnej wielkości, skaut próbował nart, saneczek, dalszych spacerów. Kiedy go pytano, czy owe buty, «guziaki» nie ciężą mu przypadkiem, odpowiadał uspakajająco, z głębokiem przekonaniem, że gdy się w nich stoi na ziemi, to, do prawdy, wcale się nawet nie czuje ich ciężaru. Brał lekcye prywatne od Benedykta Wojczyńskiego i dr. Maryi Ratyńskiej, sadził na wiosnę gwoździki i biały bez pod oknami mieszkania p. Tadeusza Kornilowicza, pracował w pięknym ogrodzie. W czerwcu, dla dokończenia kuracyi wyjechał nad morze, do Paris-Plage, między Etaples i Berck-sur-mer. W czasie tej zimy i wiosny rozrósł się i utył nadzwyczajnie. Fernand Paillet, którego rodzice mieli w Paris-Plage własną willę i który tam już oczekiwał na przyjaciela, ledwie mógł poznać rówieśnika w spodniach do kostek i kołnierzyku «dorosłym». Dopieroż to zawrzały rozmowy! Ileż to sobie mieli do powiedzenia! Znikali z willi «Vercingetorix» na całe ranki i popołudnia. Z pewnym panem Dachicourt, właścicielem statków i łodzi rybac-

kich przy ujściu rzeki Canche, udawali się na połów w głąb morza, cofali się z przyływem aż do Etaples, a z odpływem płynęli aż pod angielskie wybrzeża. Zawarli znajomość z rybakami i różnemi «wilkami morskimi», którzy im udzielali wiadomości co do sposobów połowu ryb i różnych potworów morskich. Ponieważ rodzice Fernanda posiadali automobil, Adaś zwiedził okolice Touquet-Paris-Plage, aż do Boulogne i Montreuil. Gdy w Paris-Plage były bardzo tanio do wynajęcia wierzchowce, Adaś kilka razy w tygodniu jeździł konno po olbrzymiej plaży aż do Berck i ujścia Canche. Gdy go było obserwować z brzegu, stawał się mały, coraz mniejszy, zmieniał się w punkcik czarny i niemal znikał, ścigając się w galopie ze zwałami wielkuiście ruchomego morza. Brał tam lekcje gimnastyki i boxu od pewnego specjalisty, siłacza i doskonałego pedagoga. W ciepłe dni, mając wzbronione używanie kąpieli morskich, zażywał słonecznych w dolinach i na szczytach ogromnej pustyni piasków, diun, porośniętych jedynie chudemi kępkami traw, zwanych w tamecznym języku — *ôyatts*. Daleko, za wszystkiemi wspaniałościami tego miasta, wydmuchniętego z piasku na skinienie kapitału francuskiego, za ostatnimi domami Touquet, w stronie Berck, leżało

zanurzone głęboko w suchy piasek czołno bez dna, stary rozbitek, który burza niegdyś cisnęła na wybrzeże. Zapomnieli o nim ludzie, aż stało się jakoby częścią tamecznej przyrody. Tam to, w głębi tej łodzi, wyrastającej z piasku, była podstawa operacyjna wypraw na diuny. Rzeczy, buty, bieliznę, zostawiało się w czólnie, ażeby w stroju adamowym wdzierać się na łańcuchy gór z litego piasku, z piasku tak czystego, iż, prawdziwie, miał w sobie nieskalaność złota. Piasek ów, stokroć przedmuchany przez srogie wichry, dmące z zachodu i z północnego morza, z uchylonej wrótni między Anglią i Francją, — usuwał się pod stopami i sunął, jak istna rzeka, w dziwnie powabne dolinki, których powierzchnia do kształtu fal morskich była podobną. Diuny nie cieszyły się dobrą opinią w sferach miarodajnych: ukrywali się tam, pono, straszni bandyci. Czasami w tej pustyni rozlegał się strzał i jeden z kąpielowiczów z Paris-Plage przypłacał życiem nieostrożność samotnej wycieczki. Obecność bandytów w tej stronie podniecała imaginację skauta. Każdy krok i każde spojrzenie było w obszarze diun i w takich okolicznościach ściśłą obserwacją. Ślady stóp, zgniecenie trawy, jakieś niedostrzegalne dla profana szczegóły, — dla skauta stanowiły pewnik matematycznie ści-

sły, — kto szedł, skąd, dokąd, jakiego był wzrostu, blondyn, czy brunet, a nawet — w jakich zamiarach. Drogie, niezapomniane dni nad morzem w Paris-Plage!

Brzeg angielski, mrugający w oddali, wśród ciemnych nocy światłem swoich latarni morskich, pociągał ku sobie. To też pewnego dnia Adaś udał się koleją do Boulogne, gdzie obejrzał ruchliwy, stary port, a stamtąd statkiem do Folkestone na angielskim brzegu. Śliczne miasto, zapewne jedno z najpiękniejszych na świecie, położone na wysokiem, skalistem urwisku, z widokiem na błękitny Pas-de-Calais i łagodnie w przestrzeni narysowany brzeg francuski, tak pociągnęło w swój gwarny wir, że prześlepiona została godzina powrotu. Statek do Boulogne odszedł. Drugiego statku już nie było w tej dobie. Trzeba było żywo pomknąć do stacyi kolejowej za miastem, tam wskoczyć do pociągu, zdążającego do Dover i próbować szczęścia, czy się nie trafi na statek do Calais. Ale w Dover statek właśnie był odszedł, a następny wyruszał dopiero o północy. Adam skorzystał ze sposobności i obejrzał wspaniałe tamy z granitu, po których mkną pociągi, długie groble obejmujące ogrom portu, — i ciekawe miasto. Widział tu licznych skautów angielskich, przesuwających się w ulicach, błą-

dził po zaułkach, pełnych nędzy, przypominających brudne dzielnice Londynu, wreszcie obserwował życie groźnej fortecy. Z okna małej restauracyjki, z gościnnego pokoju na piętrze, gdzie stały stare meble angielskie, odwieczny zegar szafkowy i wisiały dawne portrety, patrzył na port przy blasku księżyca, na mnóstwo żaglowców, chwiejących się od wiatru i nieustający ruch wszelakiego rodzaju motorówek i łodzi. Wyruszywszy wreszcie w nocy z Dover, zawinięty w płaszcz, przechadzał się po pokładzie i przypatrywał morzu, na którym stała nieskończona pręga blasku księżyca. Wielka ilość latarni morskich na jednym i drugim brzegu zdawała się wciąż rozmawiać pomiędzy sobą tajemniczą mową swoją.

Po przybyciu późno w nocy do Calais nie można było znaleźć hotelu, ani wogóle noclegu. Ohydne szynki obok przystani, pełne pijących i wrzeszczących marynarzy, jakieś okropne jamy, które wskazywano, przerażały swym widokiem i dostępem. Trzeba było przebyć daleką drogę w ciemności do środka miasta, żeby znaleźć po nocy możliwe schronienie w jakimś małym hoteliku. Nazajutrz Adaś zwiedził Calais, miasto rozległe, porozrzucane na brzegach zatok i kanałów. Podziwiał arcydzieło Rodina «*Six bour-*

geois de Calais», stojące na niskim postumencie u wejścia do parku miejskiego. Pisał niedawno o tych bohaterach wypracowanie w liceum, a teraz widział ich, uwiecznionych przez nieśmiertelnego plastyka, jak idą, chwiejąc się i zataczając, umierający a nieśmiertelni. Tegoż dnia powrócił koleją do Paris-Plage. Zbliżał się już koniec wakacyi i konieczność powrotu do Zakopanego i do szkoły. Trzeba było pożegnać słodką Francję, która samo dobro dała czystej, młodej duszy. Rozstając się z przyjacielem Pailletem, Adaś zachowywał marsową surowość na twarzy i spokój. Patrzyli sobie w oczy groźnie i twardo, podali sobie ręce i rozeszli się w różne strony świata. Teraz — już nazawsze. W Paryżu Adaś stołował się w restauracyi, u Duvala na Boul-Mich'u, co sprawiało niemałą satysfakcję, dawało przedsmak dojrzałości. Zwiedzał jeszcze miasto, kupował rozmaite płaszcze, gumowe miednice do kąpieli, przybory sportowe, boxerskie rękawice i t. p. Wreszcie odjechał w stronę ojczyzny z Gare-du-Nord...



Wskutek straty roku przez chorobę, po powrocie z wakacyi, zdawał egzamin do klasy trzeciej w gimnazjum zakopiańskim. Szkoła mie-

ściła się na ulicy Kościeliskiej, a on mieszkał na Bystrem, to też męczyła go bardzo tak odległa droga. Ratował się rowerem, ale i rower był tylko w części pomocny, gdyż pod górę trzeba było dobrze pracować nogami. To też wciąż marzył o «Łysce», która beczynninie trawiła czas w Nałęczowie. Po pobycie nad morzem gimnastykował się, kąpał rano w zimnej wodzie, boksował, o ile było z kim, i znowu wstąpił do drużyny skautowej, której pierwsze zebranie odbyło się w połowie września 1913 roku. Pięć godzin lekcji w klasie, a oprócz tego godzina lekcji niemieckiej, wypełniały mu czas po brzegi. W drugiej połowie września nowa bieda zwała się na nieszczęśnika: gdy przechodził, wracając ze szkoły, obok domu krawca Kowalskiego na Krupówkach, jeden z psów, których ilość i swoboda ruchów w Zakopanem rywalizuje z najplu-gawszemi dzielnicami Konstantynopola i Pekinu, wypadł z brudnego dziedzińca, rzucił się i we dwu miejscach ukąsił go w nogę. Skończyłoby się wszystko na przestrichu, gdyby nie podejrzenie, czy pies nie był wściekły. A więc konsultacye lekarzy i natychmiastowy wyjazd do Krakowa po poradę u doktora Bujwida. Szczęściem sekcya głowy psa wykazała brak oznak wścieklizny. W czasie pobytu w Krakowie (dla zupełnego

upewnienia się co do pokąsania) Adaś zwiedzał wystawę pamiątek po księciu Józefie Poniatowskim i muzeum Czapskich, a z Witoldem Płoskim urządzenia uniwersyteckie. Na pociechę za te biedy, jakich doświadczył wskutek «okoliczności» z psem zakopiańskim, dnia 24 października przyjechała z Nałęczowa upragniona «Łyska». Mógł teraz na koniu odbywać codzienne kursa do gimnazjum. Konia zostawiał w stajni u rzeźbiarza Sobczaka na czas wykładów, a sam odbywał naukę w szkole, po której skończeniu gnał do domu na Bystre.

W końcu listopada tegoż roku drużynowym całej drużyny zakopiańskiej został p. Andrzej Małkowski, organizator skautingu we Lwowie, który prowadził był skautów polskich do Anglii przed oblicze Baden-Powela. W grudniu Adaś począł jeździć na nartach i brał udział w ćwiczeniach narciarskich drużyny skautowej w górach. Nabywszy za 15 koron małe saneczki góralskie na jedną osobę, zaprzęgał do nich «Łyskę» i jeździł wygodnie a szybko do gimnazjum w czasie wichrów i śnieżyc.

P. Andrzej Małkowski, drużynowy zakopiańskiego skauta, stał się wkrótce dyspozytorem dusz i ciał swych młodych podwładnych. Wszystko, cokolwiek mówił, co zalecił, co wdrażał, uważane

było za święte, nietykalne, najwyższe i niepodlegające dyskusji. Rozkazy jego były spełniane ze ślepem, iście żołnierskiem posłuszeństwem i ścisłością. Skaut, ten genialny wynalazek angielski, ogarnął całą duszę Adasia. Znalazły tu swą formę i zrealizowanie jego wewnętrzne, niejasne dążenia do wzniosłości i czystości, do prawdy i posłuszeństwa, zasadnicze cechy jego duszy. Pismo «*The Scout*», pożyczane przez drużynowego, stało się teraz ulubioną jego lekturą, a zbiórki, ćwiczenia, wyprawy, marsze i czuwania — jego żywiołem. Gotów był nie jeść, nie spać i nie spoczywać, byleby wypełnić rozkaz władz przełożonych. Pochody z Zakopanego we wszystkich kierunkach, na góry i doliny, w lasy i pola, przy objuczeniu ogromnym ciężarem, wykonywał punktualnie i dokładnie, — a nic go od tej punktualności i dokładności odwieść nie mogło, — wykonywał nie tyle siłą fizyczną naturalną, ile napięciem woli i nerwów, oraz honoru. To, co w drużynie skautowej przedsiębrało się dla zahartowania, ustalenia młodego organizmu, dokonywało się u Adasia, niestety! na koszt płuc. Za wiele było ćwiczeń i pochodów, zbyt wielkim ciężarem obarczano młode barki. Obóz letni pod Morskiem Okiem zakończył się gorączkowaniem. Ileż to cierpień zadało

skautowi leżenie w łóżku, o, hańbo! w domu, gdy «obóz» był «w polu».

Ci młodzi chłopcy w przededniu straszliwej wojny ćwiczący się wojskowo, w dzieciństwie swem sposobiący się do boju za ojczyznę, coś jakgdyby przeczuwali w swych czystych duszach, brali na ramiona ciężar niezmierny, podsuwając pod jego ogrom swe młode krzyże. Mierzyli siły na zamiary. Słyszeli, widać, swym słuchem nieskalanym, gdy po nocach «czuwali» wielkie kucie w ziemi niezbląganego wojny anioła. Zdawało im się, że ziemia drży i płonie, więc niema już czasu, ani spoczynku. Dokąś wciąż szli z pieśniami niepodległemi na ustach. Wzniosłe hasła urabiały ich dusze: — nie pić alkoholu, nie palić tytoniu, mówić tylko prawdę, unikać zepsucia i wszelkiego świństwa ziemi, pracować fizycznie, samemu robić wszelką robotę, organizować się w braterskie zastępy, ogarniając wszystkę młodzież kraju. O Adasiu mówił jego drużynowy piszącemu te słowa, iż jest to — «złoty skaut». Szacowny tytuł. Ach, gdybyż nie był nabyty kosztem rannego kaszlu i bolesnem zamgleniem oczu!

W maju 1914 roku Adaś mianowany został plutonowym trzeciego plutonu drużyny zakopiańskiej. Odtąd jego przykładanie się do obowią-

ków jeszcze bardziej wzrosło. Dawne «studya wojskowe» z Pailletem, zamiłowanie do rzeczy militarnych, czytanie w tym kierunku mnóstwa książek, broszur, instrukcyi, podręczników mustry uczyniło zeń istotnego oficera, zwłaszcza, gdy miał możność, choć w drobnej mierze, zastosowania zdobytych wiadomości. Ten czternastoletni oficer mógł wiedzą swą zasypać niejednego fachowca, a ćwiczył swój front, jak rutynowany służbista. Gdy wybuchła wojna, skauci użyci zostali do rozmaitych czynności na poły żołnierskich: dźwigali ciężkie łóżka do przyszłych szpitalów, taszczyli pościel, przenosili rzeczy, patrolowali po nocach, rozwozili pocztę, czyścili konie i wyrzucali gnój, oraz wysyłani byli to tu, to tam, przez tworzące się władze legjonowe. Cała jesień 1914 roku upłynęła w pracach ciężkich i wytrwałych. W lutym 1915 roku plutonowy trzeciego plutonu otrzymał drukowany «Dyplom uznania» o następującym brzmieniu:

«Zakopiańskie Drużyny Skautowe. Skaut Adam Żeromski z I Zakopiańskiej Drużyny Skautowej ks. Józefa Poniatowskiego za pracę swą w Zakopanem podczas wojny 1914 i 1915 roku, w szczególności za prowadzenie patrolu, otrzymuje Dyplom Uznania. W Zakopanem dnia 21 lutego 1915 r. Komenda Zakopiańskich Drużyn

Skautowych. Przewodniczący Komitetu Skautowego — Mikołaj Kupski. Pisarz — Medard Kozłowski. Komendant Skautowy — Andrzej Małkowski».

Była to istna rozkosz patrzeć, jak rozrastała się i męźniała, jak twardniała i stawiała się hartowną dusza chłopca pod wpływem skautingu. Dawna delikatność i podatność przeistoczyła się na twardą siłę i wytrzymałość w dobrem upór. Adaś sam reparaował swe buty, umiał cerować i zaszywać dziury w ubraniu, zaprasowywać je starannie, prać i prasować, obsługiwał «Łyskę», dźwigał dla niej siano, czyścił uprzęż i siodło, dbał o swe rzeczy i każdą robotę wykonywał własnymi rękami. Szewcem był tak doskonałym, tak pomysłowym, że zawodowcy chwalili jego robotę, gdy do stanu użyteczności po dziesięćkroć wciąż doprowadzał swe «guziaki», potargane w pochodach i służbach, jeszcze je zmocowując gwoździami i rzemieniem. Ach, wszystko umiał wzorowo robić ten «Złoty Skaut»!



Gdy Moskale podsuwali się aż do Rabki, a patrole ich krążyły pod Bukowiną w pobliżu Morskiego Oka, wskutek jakichś nieporozumień, czy konsternacji władz enkaenowych, rozkazują-

cych wówczas w Zakopanem, wydano z góry rozporządzenie niszczenia wszystkiego, co by mogło kompromitować wobec północnych najeźdźców: palić papiery, niszczyć czy zakopywać narodowe odznaki, a nawet palić w piecach mundurami i kapeluszami skautowemi. Rozkaz ten głęboko uraził dusze młodociane! Nie poniszczono mundurów, ani nie spalono papierów. Skoro zaś p. Andrzej Małkowski wrócił ze swej do Warszawy wycieczki poprzez walczące armie, skauci zakopiańscy znowu silnie zostali zorganizowani i wzięci w mocną rękę. Życie nanowo zawrzało. Pracowano za dnia i w nocy. Coś noszono, gromadzono, wytaszczano w góry, dźwigano w głębokim sekrecie z miejsca na miejsce. Raz wraz plutonowy trzeciego plutonu dokąś pędził na «Łysce» co koń skoczy. A wszystko w wielkiej, najgłębszej, niedostępnej tajemnicy. Pewnego razu Adaś, wciąż nad czemś pracujący, schylony nad swym warsztatem, jął przygotowywać duży łuk z rozrosłego jałowca, kręcić nadzwyczajnie mocną cięciwę i fabrykować a naklepywać strzały z metalowemi ostrzami. Gdy wielki łuk był gotowy, począł się ćwiczyć w strzelaniu do celu i, mimo swego złego wzroku, trafiał do tarczy ze znacznej odległości. Wszystkie te przygotowania szły w tempie przyśpieszonym i, widać, na rozkaz

z góry. Nie można było dobać się, co znaczą, a nie wypadało przenikać do tajemnicy skautowej, zaprzysiężonej wobec przełożonej władzy. Dopiero pewna rozmowa na drodze z p. Andrzejem Małkowskim rzecz wyświeciła. Chodziło o rzecz prostą i jasną o «Termopile». Pan Andrzej Małkowski postanowił stworzyć w Tatrach Termopile dla Moskwy nadciągającej: nie puścić jej przez Tatry, zamknąć pewne doliny i raczej zginąć ze skautami, niż dopuścić do przekroczenia naszego górskiego kraju. Postanowił uczynić «dzieło straszliwe, heroiczny przykład, któryby Polskę zatrzęsł od krańca do krańca i obudził ją ze snu niewoli». Gdzieś w pieczarach górskich ukryte zostały zapasy, jakaś broń i jakaś amunicja, a w braku tej broni i amunicji, miano wrogowi zagrozić drogę... łukami z jałowca, godząc w jego piersi ostrzami blaszek, które Adaś, jego «druhowie» i podkomendni pracownicy klepali na swych warsztatach. Zarówno małoduszne rozporządzenie co do palenia bluz skautowskich, jak te przygotowania do całopalenia młodzieńczych ciał w boju mężnym bez granic i ofiarnym bez zastrzeżeń, ten sen o sławie, która miała być wywalczona łukami w dobie karabinów maszynowych, granatów ręcznych, gazów trujących, ognia miotanego na odległość,

grubych bert, trafiających do celu na odległość stu kilometrów, bomb rzucanych z aeroplanów — zawisły w powietrzu, gdy się okazało, że Moskałe stchórzyli i nie kwapią się do Zakopanego. Złękli się może dziecięcego wojska na górach. Wkrótce p. Andrzej Małkowski wyjechał do Wiednia, stamtąd do Szwajcaryi i do Ameryki Północnej. Dochodziły wieści do wiernych mu podkomendnych, iż organizuje legion w Kanadzie, że jest we Francyi... Aż wreszcie dziś przyszła wieść najpewniejsza, iż wioząc zlecenia od władz wojskowych we Francyi dla generała Żeligowskiego na Krymie, wraz ze statkiem wyłeciał w powietrze w zatoce Messyńskiej, gdy statek ów najechał na pływającą minę. Płomienny drużynowy zbiera w zaświatach podkomendnych dawnego zastępu, jakby ich straszliwym rozkazem wołał z tej ziemi na zbiórkę nową...



Po wyjeździe p. Andrzeja Małkowskiego komendantem drużyn skautowych w Zakopanem został ks. Władysław Kornilowicz. Nie myślano już teraz o prowadzeniu wojny, a góry i doliny traktować poczęto, jako teren do zwyczajnych zbiorowych wycieczek. «Łyska» przeprowadzona została do szopy, zbudowanej na dziedzinie korni-

łowiczowskiej przez nie walczących legionistów wschodniego legionu, którzy utrzymywali się z ciężkiej pracy fizycznej w tartakach i u cieślów. Tu pozostawała wyłącznie na opiece Adasia. Karmił ją, poił, czyścił, zaprzęgał i odprzęgał, pasł na ogrodzie, dźwigał dla niej siano i zrzucał je ze strychu do żłobu. Ale utrzymanie konia w Zakopanem z biegiem wojny i wobec wzrastającej drożyzny wszystkiego stawało się niepodobieństwem. Siano drożało z dnia na dzień. O owsie nie było mowy. Rzadko już dostawała kawałek chleba lub kosteczkę cukru. Darmo żałośnie wystawała pod Adasiowem oknem i biła u drzwi kopytem. Zjadała wszystkie dochody. Zrazu poszła do Kościeliskiej doliny na przekarmienie do przygodnego leśnika, którym został jeden z legionistów wschodnich, a gdy tamten wstąpił do legionu walczącego, sprzedana została do dworu w Kuźnicach, w nadziei, że tam znajdzie paszę dobrą i służbę łagodną. Junackie harce i wesołe biegi pod siodłem młodego swego pana musiała zamienić na twarde, stałe chomąto i dźwiganie węgla z kolei. Ale wolna «Łyska» miała swoje fanaberye i nałogi. Nie nadała się do wożenia węgla. Biedna Łyska! Przyjaciółka i towarzysza tylu dni i tylu dróg nocami... Żrebiątkiem będąc, przychodziła po chleb i cukier wprost na

balkon i do stołu w Nałęczowie. Dorósłszy, rozumiała swoich ludzi, doprawdy, jak świadomy współtowarzysz życia. Umiała spojrzeć w oczy z taką jasnością rozumu, z pasją, lub przedziwną, nam ludziom niedostępną, godnością, jak pewnego razu piszącemu te słowa w Kościeliskiej dolinie... Sprzedana przez dwór w Kuźnicach do wojska, poszła na boje. Katował ją, pewnie, obcy żołdak. Zginęła, pewnie, pod kulami, czy pod razami, w furii i szaleństwie znarowienia, gdy ją biciem zmuszano... Psy, może, rozdarły jej lśniące kłęby, a wilcy roznieśli wierne kości w obcym polu...



Ucząc się wciąż i dobrze, Adaś przechodził z klasy do klasy. W klasie trzeciej miał jeszcze za dyrektora p. Czesława Pieniążka, a za gospodarza klasy p. Władysława Żarneckiego. W czwartej — za dyrektora p. Jana Jarosza, — a za gospodarza (w drugim półroczu) p. Dr. Tadeusza Lehra, znakomitego slawistę, który zostawił w jego duszy dobre wspomnienie, — w piątej p. Wuttkego, — w szóstej pp. Stopę i Kowalczyka, — w siódmej (w pierwszym półroczu) p. Dr. Mieczysława Smolarskiego.

Po sprzedaniu «Łyski», gdy gimnazjum

przeniesione zostało na ulicę Zamoyskiego, trzeba było przybliżyć się do tego źródła nauki, ażeby nie biegać pod górę i zbyt daleko. To też Adaś zamieszkał w willi «Anielówce», prawie naprzeciwko gimnazjalnego lokalu. Wnet po wprowadzeniu się do tego lokalu ciężko zapadł na zdrowiu. Pierwszy raz ukazała się krew w plwocinie. Długo leżał. Weranda. Smutek.

Dochodziły do jego uszu wesołe głosy z przeciwnika, z internatu «na Polance». Ze swej werandy widział kolegów, patrzył zdaleka na wyprawy skautów, ruszających w las ze śpiewem. Czytanie książek. Góry książek! Cała, zda się, Biblioteka Publiczna w Zakopanem, czytelnie i wypożyczalnie, książki stare i nowe — przesunęły się przed jego oczyma. Zaczął rysować i malować. Dziwne, tajemnicze witraże z klęczącym rycerzem i świętym biskupem, ukazującym się w aureoli, — bogowie, piękni, wykwintni ludzie... Gdy Adaś był uczniem klasy szóstej, staraniem grona wychowawców i wychowanic gimnazjum urządzony został «Wieczór wspomnień z przeszłości Polski» na dochód miejscowej ochronki po żołnierzach Legionów Polskich, 18 grudnia 1916 roku. W części trzeciej tego przedstawienia dawano «Noc listopadową» Wyspiańskiego, a Adaś grał rolę Piotra Wysockiego. Doskonale

ucharakteryzowany grał świetnie, pierwszy i ostatni raz w swem życiu, występując na scenie. W główniejszych rolach występowały jego koleżanki z gimnazyum: Danuta Drużbacka, Pelagja Mielochówna, Wanda Sztegmanówna, Romana i Zofia Wyrzykowskie i kilku kolegów.

Straszne dzieje wojny, huczące zdala od łóżka i leżaka chorego chłopca, najście Niemców na Francję, nieustanne uderzenia w kierunku Paryża, niszczenie Reims, nieśmiertelny opór Verdun — przejmowały jego duszę szczególną i jedyną «oryentacją». Jeżeli kto w Polsce czuł straszną grozę, istny trzask w sercu bomb i kul, padających na Paryż, to on najbardziej. Oto wybuchła ta wojna, o której śnili, gaworzyli i do której tak parli dwaj mali chłopcy, francuz i polak, idąc dzień dnia przez ulicę Denfert-Rochereau i wygłaszając swe śmieszne tyrady!... Od samego początku tej wojny wszyscy i wszystko dookoła twierdziło iż Paryż będzie wzięty — («to trudno!»), — Francja zgnieciona, zdeptana butami pruskiego zwycięzcy, że naród francuski, jak twierdził samodzierżca opinii galicyjskiej, pan Konstanty Srokowski, to «człowiek martwy», a owe miasta, których nazw Adaś uczył się dziecięcymi ustami, rozpadną się w gruzy od pocisków «niezwycięzonego» prusaka, od «niemieckich

armat», bijących na sto kilometrów, tam, w sam środek, może w kochane liceum przy luxemburskim ogrodzie. Miałoż zaiste być tak? Także to strasznie miała się zawieść wiara dziecięca w broń, w artylerję, w mądrość wojenną, w żołnierza Francyi? Serce Adasia dochowało wiary Fernandowi Paillet, tym wszystkim małym chłopczykom, kolegom z «ósmej» z panem Haranger pośrodku, których zbiorową fotografię stale trzymał koło swego posłania. Jak serca ich, taksamo jego serce drżało, jaką była wiara ich, taka też była jego wiara. Jego cichy i pokorny rozum, sam jeden, wbrew wszystkim «racjom stanu» nie wierzył w pogrom francuzów. Nigdy, ani na jedną sekundę! Adaś zawsze wiedział napewno, że Francya nie zostanie pobita. Sarkastyczny uśmiech nie schodził z jego warg, gdy dyskutowano, dowodzono, wieszczono, lub śpiewano na cześć sojuszu Polski z państwami centralnemi. Dowcip, tak nieraz subtelny i zjadliwy, iż zastanowiłby najdojrzalszego i najprzebieglejszego dyplomatę zbiegał z pomiędzy jego warg. Niektóre manifestacye — «Hold zwycięskom!» — «Nasza czwarta Armia!» — przemówienia, odczyty, publikacye, akty i awantury polityczne miały w tym uczniu gimnazyalnym niepokonanego szydercę i ciętego krytyka. Różne bałwany,

karyerowicze, ryfy i franty tej dziury zakopiańskiej, wyrastając w tym czasie na dygnitarzy lub mniemanych dobrodziejów narodu, były od-
twarzane przezeń w sposób nieporównany. Były to istne strzały torreadora, rzucane niepostrzeżenie w kark głupiego byka, gdy się miotał po arenie, sam nie wiedząc, w którą biec stronę. Jakżem was kochał, wy chybkie strzały, ciskane subtelną ręką mego jedynego politycznego przyjaciela!



Przeniesienie gimnazjum do willi «Liliana» zmusiło do szukania mieszkania bliżej zakładu, a więc w willi «Nieczuja» przy Jagiellońskiej ulicy. Siódma klasa. Umysł stał się otwarty, dusza niemal męska. Serce tylko zostało dziecięce. Posłuszeństwo, dobroć, łagodność i taka czystość obyczajów, że ten dorastający młodzieniec nigdy z własnej chęci nie był w kawiarni, nie miał w ustach papierosa, nie znał smaku wódki, nigdy nie kłamał, w żadnej okoliczności życia. W klasie siódmej będąc, zaczął dawać lekcye prywatne. Codziennie, bez względu na pogodę, o naznaczonej godzinie szedł na swą korepetycję. Jedyłą rozrywką były narty, po przeprowadzeniu bojkotu kinematografów, czego był

jednym z inicjatorów. Jedyłą namiętnością były wycieczki w góry. Obarczony ciężkim plecakiem, z czekanem w ręku, z liną przewieszoną na ramieniu, w podkutych butach, które raz wraz doprowadzał do porządku, znikał wciąż na dwa, trzy dni w towarzystwie kolegów Tadeusza Osieckiego, Stanisława Żychonia, Tadeusza Kaleńskiego i innych. Znał Tatry wybornie, wdzierał się na wszelakie szczyty i nieraz przemierzył góry—doliny. Radość wiekuista, niesiona przez suche wiatry z samotnych szczytów na szczyty samotne, po osypiskach, zawalonych złomami skał, po wonnych gałęziach kosodrzewiny i sobie samym kwitnących ziołach, ogarniała go tam — smutnego młodego wędrowca, gdy się z posępnych dolin i z objęć życia wyrывał. Dobrze mu było nad błękitnemi i litworowemi jeziorami, w których nieruchomej powierzchni przeglądają się niezmierne kształty granitów, wielkość i nieskończoność. Krok jego stawał się lekkim tam, gdzie już do ucha nie dochodziły odgłosy posępnej życiowej doli, gdzie już nie było nic słyszać o chorobach, o nieubłaganych prawach i walkach ludzi z ludźmi, o namiętnościach i pasjach, — nic niewiadomo o świecie starym, lecz młodość jedynie nigdy nieskończona śpiewała pieśni święte i ukazywała obrazy młodocianej

duszy potrzebne. Na kamienistych ścieżkach, w przesmykach wśród głazów, w lasach dziewiczych Newcyrki, na perciach niedostrzegalnych, krążących ponad przepaścią ziejącą w dole, w szczelinach niedosięglých, wydźwignionych ku niebu krzesanic, serce jego stawało się lekkie i dziecięce znowu. Wyciekał z niego smutek rozmyślań i wszelaki żal — i było znowu sercem dzieciątka z Nałęczowa, które ścigało oczyma skowronka w niebie. Jakie tam dумы snuł, idący nad brzegiem jeziora tajemniczego, za czem tęsknił i czego pragnął, jakie modlitwy wymawiały jego czyste usta — ty jeden wiesz o wietrze, wietrze... Lekarze zakazywali tych wycieczek, lecz nic na świecie nie mogło go odwieść od tej jedynej rozkoszy. Mówił, iż jedynie w górach czuje się przewybornie, je i śpi znakomicie. Wracał z tych karkołomnych wypraw ogorzały, silny, jakiś jakby rozrośnięty i wzmożony na siłach.

Na święta Bożego Narodzenia pojechał do Krakowa. Ciekawą było rzeczą, co też za swe pieniądze, zarobione lekcyami, zechce nabyć, jak zużyje te wielkie sumy (sto kilkadziesiąt własnych koron)? Nabył dobre akwarele, maszynkę do golenia wąsów, których, oprócz niego samego nikt nie mógł dostrzec, różne przybory rzemieślnicze. W nadesłanej karteczce pisał z Kra-

kowa: «Mimo krakowskiego błota, dobrze się czuję... Zwiedzam muzea, wystawy, kościoły, chodzę czasem do teatru. Po Zakopanem Kraków wydaje mi się wielkiem, wielkiem miastem...»

Wiele w tem «wielkiem mieście» pokazał mu p. Witold Płoski, podówczas student uniwersytetu.



Po powrocie z Krakowa, w ciągu stycznia Adaś pilnie chodził do gimnazjum, pragnąc je jaknajprędzej ukończyć i dostać się do uniwersytetu. Dawał więc korepetycye i czytał, czytał bez końca. Jeździł na bobsleigh'u i na nartach w towarzystwie miłego dlań kolegi, p. Jana Axentowicza, który z wojska przyjechał na urlop i korzystał z czasu, żeby dopędzić kurs gimnazyalny i zdać do klasy ósmej. Ale po każdym teraz powrocie z nart Adaś był blady. Twarz miał dziwnie zmęczoną. Bicie serca było wciąż przyspieszone. Nie zwracał na to uwagi i nie chciał słuchać przestróg lekarza. Gdy szedł pod górę, nawet ulicą Jagiellońską, męczył się, choć nie chciał przyznać się do tego i bagatelizował wszelkie obawy. Pewnego razu, idąc z ojcem podczas zawiei śnieżnej na swą popołudniową korepetycye, której nie chciał zaniechać, przyznał, że teraz

bardziej czuje się słabym, niż dawniej. Uproszony, zaprzestał dawania lekcyi i został w domu przez kilka dni, pomimo iż nie miał podniesienia ciepłoty. Gimnazyum było źle opalane, uczniowie siedzieli w paltotach, profesorowie w futrach. Nogi przemoczone w śniegu marzły w czasie wielogodzinnego ślęczenia nad Eneidą. Pewnego razu, gdy znowu zaczął uczęszczać do szkoły, kolega D. wziął książkę «Geografia Polski przez Stanisława Pawłowskiego» i obok winiety tytułowej począł rysować ołówkiem jakieś kulfony. Adaś prosił go, żeby tego nie robił, gdyż tę książkę ma od ojca i nie chciałby mieć jej pomazaną. Kolega D. zadrwił dowcipnie z tego pietyzmu dla książki i rysował w dalszym ciągu. Gdy na powtórne uwagi jeszcze ostrzejszym odpowiedział dowcipem, Adaś wydarł mu książkę i potracił grubijanina. Wywiązała się bójka. Tamten, chłop silny i zupełnie prawie dorosły, chwycił słabego wówczas Adasia, powalił na ziemię i zdusił za gardło tak dobrze, że na pół zemdlącego i bardzo bladego podnieśli koledzy Stanisław Żychoń i Ryszard Hoffman. Ci też dwaj przyjaciele odprowadzili go do domu.

Na początku lutego zachorował niby to na influencę. Gorączka, wielkie poty po aspirynie, a gdy nadeszło niby polepszenie, jakaś wielka

niemoc. Wychudnięcie raptowne, brak apetytu — i smutek.

O, smutku, smutku tego czystego anioła, jakże cię wysłowi nędzne moje pióro! Jasne oczy zapatrzone w ziemię, przedziwny półuśmiech na ustach i nieustające, głębokie o czymś zamyślenie. Nieskończone godziny werandowania w brzydkie dni marca na leżalni ongi szkolnej, otoczonej, jakby na kpiny, kominami w tem najokrutniejszym z mieszkań ludzkich, w tej istnej «Nieczui». Czytać tylko, wciąż czytać, a raczej słuchać czytania! Czasem niezrównane, sarkastyczne określenie utworu, który mu przeczytano. Najnowsza powieść sławnego autora, której wysłuchał, budzi refleksyę ośmnastoletniego krytyka, której mógłby mu pozazdrościć «przenikliwy» esteta: — «Ten sam to wciąż, piąty czy szósty z rzędu, tramwaj socyalistyczny, jadący do wiadomej z góry remizy, tylko obecnie jest to tramwaj z kości słoniowej!»...

Tom nowopoznanych wierszy młodego poety wywołuje słuszną i niezrównanie charakteryzującą uwagę: — «Tak, to są ładne wiersze, tylko wciąż mam obawę, że nie to poeta pisze, co chce, ani nie jest to wynik uczuć podświadomych, — że nie on panuje nad wierszem, lecz przeciwnie, że rymy wodzą za nos poetę, dokąd tylko chcą!»...

Nie bawi go już tak miły dawniej Dickens,

Prus, Dumas stary, humoryści i satyrycy. Czasami tylko przegląda jeszcze swego «Napoleona», patrząc na ulubione twarze... Czasami jeszcze omdlała ręka sięga po «ulubionego autora» i po setny raz biedne, smutne oczy spoczywają na poszarpanych kartkach. Usta ozłaca uśmiech łagodny. W marcu próbował nieraz wstać, ubierał się pilnie w swą zieloną kurtkę, przerobioną tak pracowicie w Podhalańskich Warsztatach Pracy z paryskiej derki, sporządzonej ongi przez Mr. Felixa. Próbował malować, rysować, wyciągać tak starannie dawniej wykonywane rysunki techniczne. Ale niezmierne znużenie wytrącało z ręki pióro, pędzel, ołówki. Usiłował pisać pamiętnik, ale tylko jedno zdanie zapisane zostało w tej książeczce:

«Dziś jest siedmdziesiąty dzień mojej choroby. Śniegi wciąż leżą i ja na werandzie. Och, cóż za smutek!»

Jakiż głos smutniejszy był na ziemi od tej skargi młodzieńca, który czuje, że w nim coś z dnia na dzień gaśnie, z godziny na godzinę czegoś ubywa, z minuty na minutę coś ucieka!

Nie pomagało najforsowniejsze, co godzina, karmienie, werandowanie, zastrzykiwanie arszeniku, które tak doskonale i tak starannie wykonywała pani Aleksiejewska, zażywanie strychniny,

ekstrakty mięsne i wszelkie możliwe matczyne zabiegi.



Zły i coraz gorszy stan serca nie pozwalał chodzić. Czasami tylko kilkadziesiąt kroków po ulicy Jagiellońskiej, — raz aż do mostu na Przecznicy. Dr. Antoni Kuczewski, który go stale odwiedzał, pozwolił natomiast wyjeżdżać na spacer fiakrem. Gdy pierwszy raz po długiej, morderczej, straszliwej zimie wyjechał z ojcem w górę ulicy i gdy naprost parku ujrzał zieloną łączkę, przetrzniętą wzdłuż rowu żółtą smugą kaczeńców, usłyszał śpiew kosów, rozejrzał się po ziemi, po drzewach, po górach, po obłokach, uśmiech nieopisanej radości, — gość tak dawny! — zajaśniał na jego twarzy. Jeszcze raz szczęście życia i rozkosz wiosny zajrzała do jego oczu. Jeździł tedy codziennie, o ile tylko można było dostać, a raczej użebrać, fiakra, ku Jaszczurówce, Kuźnicom, na dół Chramcówkami i przez Kościeliską ulicę ku Sanatorium. Ale męczyła go i sama jazda fiakrem. Kurz najłżejszy dokuczał. Na schody mógł wstępować tylko noga za nogą, z trudem dysząc. Więc leżenie na werandzie «Nieczui», wśród krzyku dzieci, bawiących się na podwórzu. Listki jesionków i grabiny poczęły rozwijać się w parku

pp. Szczeniowskich, przylegającym do terytorium «Nieczui». Patrzał całemi godzinami na te stulone, jasne listeczki. Czasami odwiedzali go koledzy i koleżanki: Franciszek Zdański, Ryszard Hoffman, Stanisław Żychoń, który przyjechał z legionów, Zofia Sulkiwiczówna, Wanda Sztegmanówna i inni. Słuchał historyi szkolnych...

Kiedy profesor dr. Jan Müller, nauczyciel języka niemieckiego, zapytał, czyby sobie życzył, ażeby na radzie profesorskiej poruszoną została i wyświetloną zupełnie sprawa zajścia z kolegą D., który tuż przed chorobą tak go dobrze potraktował, Adaś odpowiedział kategorycznie i z niewymownym uśmiechem:

— O, nie! Nigdy!



Lekarz doradzał wyjazd z Zakopanego na niżiny, mniemając, że będzie to może lepiej dla osłabionego serca. Adaś marzył o Nałęczowie. Upływały dni maja. Święta, obchody, uroczystości... Dalekie głosy pieśni skautów, idących w góry, sygnały ich trąbki. Ciężka głowa dźwiga się z leżaka, gdy hasło dobiegło do ucha. Błysk oka, uśmiech...

Ciepłota wciąż za niska, a tętno wciąż nadmiernie szybkie. Coraz gorszy sen, brak apetytu

i znikanie w oczach mięśni ciała. Chude, bezwładne dłonie leżą na kołdrze. Straszliwa chmura w oczach. Ten miesiąc maj, jakgdyby jeden straszliwy dzień!...



W pierwszych dniach czerwca wizyta prof. Latkowskiego. Po konsultacyi — wyrok, szepnięty ojcu do ucha, w nocy, w ciemnym korytarzu willi «Nieczuja».



Życzliwi profesorowie gimnazjum pragnęli ułatwić Adasiowi zdanie egzaminu, ażeby mógł otrzymać promocyę do klasy ósmej i nie tracić wskutek choroby tak drogiego szkolnego roku. Ale już nie chciał...

W połowie czerwca nastąpił wyjazd z Zakopanego, poprzedzony staraniami, zabiegami i nieustanną pomocą pani Maryi Dembowskiej. Po wielu korowodach udało się dostać oddzielny przedział w nabitych zawsze, krótkich pociągach. Zeszli się na dworcu koledzy z gimnazjum zakopiańskiego. Żarty ich i wesołe słowa pożegnania nie bawiły już nieszczęśliwego Adasia. Drogę do Krakowa zniósł dobrze. Cieszył się bardzo, że jedzie. Późno w nocy na dworcu w Krakowie

oczekiwała pani Marya Dembowska, pani Wanda Lilpopowa, panna Jadwiga Sienkiewiczówna, Dr. Kazimierz Rouppert, który z miłością ofiarowywał własne dla chorego mieszkanie i chciał go brać ze sobą, — oraz pan Jakób Mortkowicz. Ale, dzięki zabiegom pani Dembowskiej, był już w hotelu Francuskim przygotowany pokój, co w owych czasach było niezrównanym sukcesem, — a nawet uruchomiona po nocy winda hotelowa. Prowadzony popod ręce, chory wsiadł do fiakra i znalazł się wkrótce w wygodnym pokoju. Nie uspokoiło się po zjechaniu z wyżyny biedne serce. Prof. Latkowski, który przybył nazajutrz, przepisał ostre środki, — owo «Dionini»... — i radził jechać dalej. Ale jazda koleją w owej dobie była torturą i katuszą dla zdrowych. Cóż mówić o ciężko chorym! Trzeba było na dworcach, po nadejściu pociągu, zdobywać łokciami i pięściami nie miejsce w przedziale, lecz możliwość wepchania się na schody, wtargnięcia do środka. Ludzie wprost bili się we drzwiach wagonów i spychali słabszych ze schodów. Dzięki niestrudżonym staraniom pana Mortkowicza, uzyskane zostały telefonicznie z Wiednia miejsca w wagonie sypialnym na przestrzeni Trzebinia—Lublin, ale za to przestrzeń z Krakowa do Trzebini przejmowała trwogą wszystkich przyjaciół. Władze kolejowe

nie poradzić nie mogły wobec braku wagonów, miały tylko do dyspozycji brutalstwo w odpowiedziach swych urzędników. Jakże tu było zdobyć miejsce w tym strasznym pociągu? Adaś usiłował zebrać, skupić i wyładować ostatnie siły, żeby nie przyczyniać kłopotów, ale przecie ustać nie mógł na schodach. Na dworcu, w chwili gdy pociąg ze Lwowa wszedł pod szklany dach krakowski, panie Dembowska, Lilpopowa, panna Sienkiewiczówna i pan Mortkowicz zajęli pośpiesznie miejsca w przedziale klasy pierwszej, szczęśliwym zbiegiem okoliczności opróżnionym przez rodzinę, która w Krakowie wysiadła. Adaś mógł się dostać bez popychania do przedziału i usiąść wygodnie, skoro tamte panie wysiadły. Uśmiechnął się, gdy już jechał do owej groźnej Trzebini. Tam, na ciasnej i zapchanej stacyjce musiał czekać blisko trzy godziny na pociąg sypialny. Chodził po peronie, dźwigając z całej siły swe bezwładne nogi. Nareszcie pociąg sypialny ustawiono i mógł się położyć na pośłaniu. Była godzina 10 wieczorem. Niestety! W Granicy trzeba było wysiadać i w skok pędzić do austriackiej rewizyi, żeby znowu nie zostać na tej stacyi, skoro na wszystkie tamtejsze, prawdziwie obłąkańcze figle austriackie było 40 minut czasu, a żydów jechały w pociągu istne tysiące. Te

blagi potworne, polegające jedynie na dręczeniu nieszczęśliwych ludzi, skończyły się o pierwszej w nocy. Adaś nie wysiadł i, zarówno rewizya paszportów, jak rzeczy, kufrów, koszów, odbyła się bez jego obecności i udziału. Gdy pociąg ruszył, gwarzył z ojcem wesoło, ciesząc się, że już jest na prawdziwych dólskich ziemiach. Dopytywał się, kiedy będą Kielce... Niegdyś, za szczęśliwszych dni, wybierał się zwiedzić rodzinne strony i szkolne miasto ojcowskie, obejrzeć pewien kamień na dziedzińcu gimnazyum, wspomniany w pewnym utworze... O szarym świcie, zbudziwszy się ze snu, zobaczył przez szyby okienne wagonu dalekie wieże i mgliste kształty miasta. Mówiliśmy sobie zcicha, że gdy już będzie zdrów, po Nałęczowie, w powrotnej drodze pójdziemy do owego kamienia i wszędzie, wszędzie...

Usnął znowu i nie ocknął się, aż za Dębli-
nem, gdy do wagonu wszedł on, najdroższy, oczekiwany z całej duszy szwagier Adasiów, — Jan Witkiewicz. Po tylu latach, po strasznej niewoli, więzieniach, kajdanach, wędrówkach z kryminału do kryminału, po trudach w Mińsku, objął potężnemi ramionami, jak anioł skrzydłami, biednego przychodnia. Pociąg nie stawał w Nałęczowie. Trzeba było jechać aż do Lublina, a stamtąd dopiero do Nałęczowa końmi, które już czekały.

Na dworcu w Lublinie awantury paszportowe i rozmaite austriackie ceregiele. Lecz skończyło się wreszcie to wszystko i chory wsiadł nareszcie do powozu. Za miastem zobaczył wielkie pszeniczne łąny, żytne niwy, usłyszał śpiew skowronków. Tomaszowickie aleje, gliniaste wężoziki, okrągłe pagórki, wstęga dalekiej, polnej drogi i chłopskie niwki, kłaniające się żytmiemi kłosami. W dali, w dali — naprost alei, idącej jak strzała w kierunku Nałęczowa, wrzynająca się w błękit niebieski iglica nałęczowskiego kościoła...

Na spotkanie chorego wybiegła z domu przyrodnia siostra, Henryka Witkiewiczowa, jej śliczni dwaj synkowie Janek i Rafałek, witający «wujagę», i pani Elżbieta Daniłowska, towarzyszka niegdyś zabaw dziecięcych na tej dziedzinie. Adaś nie mógł wysiąść na willi, chciał odrazu do swej chaty. Konie z powozem musiały się wdrzeć na «Górę Armatnią», żeby go podwieźć do bramki przed chatą. Gdy powóz stanął, wysiadł oto młody pan tego zakątka ziemi i przekroczył próg furtki. Oczy i usta jego zaśmiały się radośnie na widok drzew i kwiatów. Był nareszcie u siebie. Zaszumiała na powitanie wielka sokora. Wszystkie jej liście załopotwały, zaniósł się szczerym płaczem, gdy przestępował próg swej chaty. Daleki przed jego oczyma rozpostarł się widok. Szczęście dzie-

ciństwa, jednoznaczne z tym widokiem, wcieliło się znowu w oczy i spłynęło do serca tak bardzo chorego.



Spokój pól przedwieczora, gdy zachodnie, poziome promienie ciepłego słońca pogłaskują niwki jasnego owsa, płowiejącego żyta i pozłocisto zielonej pszenicy. Żywo zaznaczają się obredlone kartofle, ostro rzepak jaśniej. W nieruchomych konarach dalekich drzew migocą wieczną ruchliwością żywosrebrne liście sokory. Ptaszek cicho pośpiewuje w rubinowych czereśniach, które grubemi pniami zastawiły wąską uliczkę. Ptaszek cicho pośpiewuje, jakby z upojeniem wciągał dzwonnemi łykami błękitną mgiełkę odwieczera. Ścieżka wydeptana obok domu, na której błędne nogi wygniotły równo ziemię. Ślepy i w swej głupocie nagi ból popycha do szarpania nastroszonych kłaków, do chwytania za żebra gwałtownie robiące i do tarcia suchej skóry. Bojaźń strzęsła wnętrzości, a wzdrygnięciem przejmuje ramiona. Tępe uderzenia boleści w tę samą wciąż przeszkodę. Dalekie pieśni rolników rozlegają się w uroczych polach. Wieczór cichy spływa. Obojętny, piękny świat. Rzewnie uciszoną przed snem nocnym staje się przyroda. Zabija z łagodnym

uśmiechem, wysysa ostatek siły z dobroćliwością, patrząc kędyś daleko przed siebie. Miażdżąca wszystko gruzlica, niepostrzeżone, galopujące suchoty mieszczą się bardzo dobrze wśród zdrowych pól, tchnących aromatami lip ledwie rozkwitłych. Po to się wychowa czysty, bezgrzeszny, niewinny kwiat, najsubtelniejsza, najcichsza z ludzkich dusz, żeby ją przeszyły sępie szpony ze spokojnym podstępem, żeby ją wyssały ssawki niewidzialne i zżarła paszcza podła. Podła!



Wizyta dra Mieczysława Biernackiego, który przyjechał umyślnie. Sam na sam z nim w ogrodzie, gdy mówił o pięknych i rozumnych oczach Adasia, gdy się dziwił jego niezrównanym odpowiedziom i uwagom w rzeczach politycznych. A potem tamto słowo w uliczce pod czereśniami...



Odwiedziny dawnych przyjaciół z dzieciństwa, braci Arciszów, legionistów. Odwiedziny Władysława Daniłowskiego. Rozmowa Adasia o przyśłości...



Gdy stary domownik, Szczepan, pierwszy raz stanął nad leżakiem chorego i spojrzał na jego

wychudłą twarz, zbladł i jęknął, jakby go kto w serce poraził. Trzeba go było na bok odprowadzić i nakazać milczenie, żeby chory nie domyślił się, jak bardzo źle wygląda. Ale ten biedny chory, gdy był, zdawało mu się, sam w chacie, szepnął samemu sobie:

— Niema już dla mnie ratunku!



Na tożeście tak cudnie porosły, bujne morderzowie, w jego oczach niegdyś sadzone, na tożeście tak się rozwinął, świerku niebieski, ulubiony, — małe cisy i tuje, sosny i jodły, — żeby do was na krześle ruchomem przyjeżdżał w gościnę, jak starzec! Teraz, gdy można było wstąpić do wojska, przypasać pałasz i twardym krokiem iść w bój na zjednoczenie ojczyzny, nogi ustać nie mogą, ręka bezwładna opada, a żebra bolą, wisząc nad próżnią, nad wielką w płucach raną! Iści się wreszcie niepodległość ojczyzny, dziś jutro nadejść może radosna wieść o złamaniu pruskiej potęgi... Chyżo, chyżo przychodzi wieści! Taka to treść, taka treść zawierała się w tobie, szeleście liści topolowych! Łóżko jego w twym cieniu, przy stole kamiennym, gdzie miał śnić swe bujne dumy młode. Nie jego sny czarodziejskie siły junackiej w tym cieniu, na ławeczce kamiennej, jemu prze-

znaczonej, lecz niewysłowione cierpienie męczennika, straszliwy samotny smutek! To tedy oznaczał łoskot młota drewnianego w belki ścian, które się tak złowieszczo, nie wiedzieć czemu, niegdyś w sercu odbijało... W tem to właśnie miejscu, przy tej belce wezgłowie jego łóżka! W tem to właśnie miejscu jego głowa leży. Po to człowiek w trudzie, w mazole buduje dom, żeby pod jego dachem, u ściany głównej, syn boleść, żal i zabicie duszy cierpiał! Zwisają czarne czereśnie i rubinowe maliny, a jego bolesne oczy nie chcą ich widzieć, gdy w cieniu zachodniej ściany leży na dworze.

— Patrz, syneczku, maliny.

— Tak...

— O czem myślisz, syneczku?

— Przypominam sobie...

— A co?

— Jakeśmy to tutaj, dawno temu, po podmurowaniach tego domu biegali z Elżunią Daniłowską...



Przybiega dzień dnia zacny doktor Szokalski, przybiega zdyszany od swych prac i patrzy na dokonywujące się dzieło. Gorączka. Cóż możesz poradzić, zacny medyku, z całą twą wiedzą? Cóż

uczynisz, żeby odeprzeć wroga tak strasznego?
Już tylko kefir i kefir — w dzień i w nocy. Pić
a pić! Wszędzie źle. Brak tchu. Wszędzie mało
powietrza i w tej wysokiej chacie i pod wyso-
kiem, bezchmurnym niebem. Serce bije, leci...
Nogi na wsze strony miota rozstrój. Nieustanna
prośba, żeby pocierać mocno te biedne stopy.
I czytać! Wciąż czytać! Jeszcze obudził ciekawość
pewien niedrukowany, zapomniany dramat ojca,
rękopis, wyciągnięty ze szpargałów szafy... Strasz-
liwe noce! Poranki w błękitnej mgle, gdy wiel-
kie i wspaniałe słońce wstaje nad dojrzałymi zbo-
żami. Oganianie od much mokrą gałęzią akacyi
i to w półmroku spojrzenie anielskie, powietrzny,
dziecinny, jak niegdyś, pocałunek, gdy się pyta
o sen tej nocy...

Sen tej nocy!



Pachną krzywe, stare lipy w nałęczowskim
lesie. Muzyka pszczoł, jak dzwonna kopuła na-
krywa głębokie, wyschnięte parowy gliny. Za la-
sem młode żyto nieruchomą niwką szarzeje. Cisza
i spokój w dalekich polach. Suchy wiatr wes-
technie czasem w dojrzałych zbożach. W kieszeni
flaszeczka morfiny dla Adasia, w ręku bławatki
dla niego. O, Boże straszliwy!



Przybycie pielęgniarki z Warszawy i jej troskliwa, fachowa praca przy przenoszeniu z łóżka na łóżko, z leżaka na fotel, na dwór i do izby. Okropne dni. Trwoga. Ponad wszelkie fachowe opieki najtkliwsza i najdoskonalsza opieka Jana Witkiewicza. Jego spokój, jego miłość i jego męstwo.



Wiatr i deszcz, przelatujący planetami. Czuwanie przy Adasiu doktora Janiny Miklaszewskiej i Jana Witkiewicza. Wizyty doktora Szokalskiego. Kaszel przerażający, po którym strzępy tkanki płucnej wydobywają się z ust. Osłabienie i niechęć do wszystkiego. Jeszcze czytać, czytać! Straszna jakaś starość we wzroku i w wyrazie oblicza ośmnastoletniego chłopczyny. Noc, razem we dwu w tej izbie, gdzieśmy niegdyś razem dwaj sypiali. Wicher.



Dnia 30 lipca o wpół do trzeciej nad ranem Jan Witkiewicz zastukał. Drżący stał u drzwi. W alejce ogrodu jakieś cienie. To Bolesław Miklaszewski i jego córki. W izbie ciemno. Po omacku dotknąłem czoła Adasia. Było zimne. We śnie, zaiste, zasnął w Bogu.



Dłoń, którą niósł do głowy, czy do ust, zastygła skrzywiona w próżni. Oczy otwarte, usta maleńkie otwarte. Oczy mojego Adasia patrzą jeszcze, ale już nie widzą. Powieki przestały być wypukłemi łukami i każda z nich stała się wytężoną cięciwą. Nos się zaostrzył. Pani Janina Miklaszewska przyłożyła ucho do piersi. Długo słuchała. Nie biło już serce mego jedyne go syneczka.



Tameśmy go z Janem Witkiewiczem ubrali w bieliznę i to ubranie, które tak lubił, za które tak dziękował, — w buty czarne, jednakie dla obydwu, nabyte w Spółce Zakopiańskiej. Ręce białe spoczęły splecione. Głowa na poduszce pod tą belką straszliwą.



Poszliśmy obadwaj z Janem Witkiewiczem do Furtaka obstalować trumnę. Miała być zrobiona z grubych, wyschniętych, dębowych desek pana Kohlsdorfa. Ktoś miał na niej wyrzeźbić krzyż i wieniec cierniowy.



Pamiętam, iż wciąż był wiatr i przelatywały deszcze. Dużo jest w człowieku siły zwierzęcia,

czy siły drewna, jeżeli może takie dnie przetrzymać. Porusza się z miejsca na miejsce, coś czyni, pokąds idzie. Na drugi dzień przed wieczorem stałem pod wielkiem drzewem tej topoli, gdy rozruch się zrobił w ogrodzie. Spojrzałem w uliczkę: to sześciu ludzi niosło w górę po śliskiej ziemi ciężką trumnę. Trumnę nieśli dla mojego Adasia.



Wybił ją białem prześcieradłem ten wielki artysta, który wszystko uczynić umie według miary doskonałej. Zasłał poduszkę z koronką i na to posłanie przenieśliśmy Adasia. Marya Szczepanówna uprzątnęła podłogę. Stary, niegdyś jadalny stół, przy którym bawił się, swawolił i śpiewał, nakryto dywanem i wysoko podźwignięto panicza. W głowach mu ustawiono krucyfiks, a z boku świece kościelne. Jan Witkiewicz poszedł w ogród z siekierą i naciął gałęzi niebieskiego świerka, modrzewi, jodeł.



Nazajutrz rano ostatnie sam na sam. Ostatnia spowiedź.

Pod tę ciężką, bezwładną głowę włożyłem «Dumę o hetmanie». Na sercu przypiąłem różę ponsową z krzaka przed domem, której pąk je-

dyny zakwitnął tego dnia. Różę czystą na serce bezgrzeszne, które nie miało żadnej winy na tej ziemi. W splecione ręce włożyłem obraz zdjęcia z krzyża Ribery, z Magdaleną, całującą dziurę w nodze Zbawiciela, obraz, któryśmy razem niegdyś widzieli.

Dobrzy ludzie zasypali drożyny ogrodu kwiatami i gałęziami jedliny, otoczyli trumnę wieńcami kwiatów. W kwiatach zasypiał «złoty skaut».



Przez tę bramkę, której budową tak się ongi radował, ponieśli go młodzi Polski rycerze, towarzysze z nałęczowskiej ochrony, wyrosli na tęgich żołnierzy polskich, na uczciwych ludzi i pracowników naszych. Żegnaj straszliwa chato! Żegnaj straszliwy progul!

Szedłem drogą i usłyszałem psalmy, które ksiądz śpiewał, psalmy, które tak kochałem za dni mego dzieciństwa, tam, daleko w górach, u świętej Katarzyny:

«Asperges me, Domine, ysopo et mundabor, lavabis me et super nivem dealbabor»...

Nabożeństwo. Wysoko na katafalku trumna Adasiowa. Potem ta otwarta jama, którą pracowicie, pracowicie zamurowuje mularz Pielak. Śpiew «Roty» przez skautów nałęczowskich. Słowo

pożegnania jednego z nich dla «miłego towarzysza od harcerstwa całej Polski». Tak oto, dokonano się.



Któregoś z następnych dni, gdym się włókł przez nałęczowski park, dopędził mnie p. Jackowski, tapicer członek zarządu naszej szkoły i zaproponował w imieniu tego zarządu, żeby tę szkołę nazwać imieniem Adama Żeromskiego. Ach, przystałem! Tegoż dnia spisałem akt, iż oddaję własność gmachu przyszłemu rządowi polskiemu, skoro tylko rada zarządzająca uzna, iż chwila już jest stosowna, — oraz, że ta szkoła ma się nazawsze nazywać «Ochrona dla dzieci nałęczowskich imienia ś. p. Adama Żeromskiego».



Ze wzgórza nad szkołą, obok drogi do Czaślawic, widać ogród, chatę, ugór przeklęty, którego nie chciałbym już nigdy stopą dotykać, gdzie Adaś umarł, — szkołę, którą nazwano jego imieniem, — i cmentarz za kościołem, gdzie śpi na wieki. Patrz, w którą chcesz stronę, i, co chcesz, wybieraj dla oczu.



Chodziliśmy z Bolesławem Miklaszewskim po ogrodzie i wybieraliśmy drzewo, godne na krzyż dla Adasia, nim trwalszy wzniesiony będzie grobowiec nad jego mogiłą. Ścięty został świerk i kilka akacyi. Ale żadne się nie nadało. Dopiero, gdy od swych prac wrócił wieczorem Jan Witkiewicz, wskazał, jako jedynie odpowiedni, konar wielkiej sokory, tej obok chaty. Było późno... Miałem coprędzej jechać. Z pola przywołano Szczepana. A były wiatry i szły deszcze na jego jęczmień tuż na wzgórzu. Widziałem zdala, jak rzucił pilną robotę i, odprzągłszy konia od drabiniastego wozu, jechał przed chatę prostą rozworą. Oto prawdziwy przyjaciel na tej ziemi! Zzuł krypcie i wszedł boso na drabinę, opartą o wyniosłe konary. Począł rąbać siekierą odnagę, zwróconą w stronę chaty, prostą, w istocie, i strzelistą. Runął wielki konar, osypany kurzawą liści. Wnet go we dwu z Janem obrąbali i zbili prosty krzyż. Powieźliśmy ten krzyż siwym koniem Szczepanowym. Tam go z trudem podźwignęli nad Adasiem. Wieniec z czerwonego berbersu zawieszony został na spojeniu ramion krzyża, symbol męczeńskiego żywota.



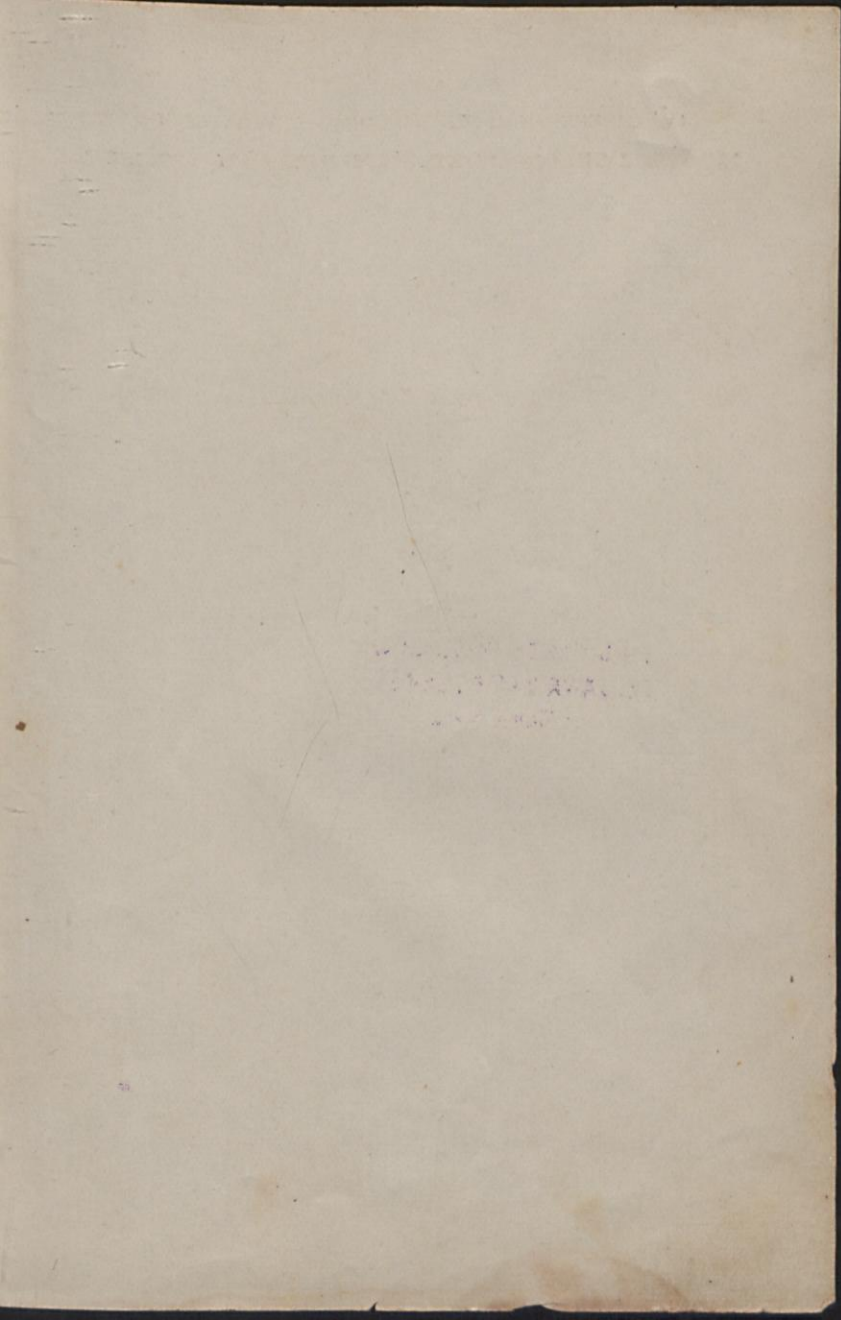
W ulewny deszcz mijałem cmentarz w Nałęczowie. Kapały tam krople w wieko jego trumny...

★

O, Boże! przytul do łona przeczystą duszę
Adasia...

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAWOYSKIEGO
w Zamosciu

W Zakopanem
Kwiecień i maj 1919 roku.



2

UTWORY STEFANA ŻEROMSKIEGO
W WYDANIACH ILUSTROWANYCH I OZDOBNYCH

WISŁA

WYDANIE ILUSTROWANE W OGRANICZONEJ LICZBIE EGZEMPLARZY, OZDOBIONE
CAŁOSTRONICOWEMI RYSUNKAMI I WINIETAMI
ZYGmunTA KAMIŃSKIEGO

LA VISTULE

FRANCUSKI PRZEKŁAD «WISEY» W IDENTYCZNEM WYDANIU W 150 EGZEMPL.
NA RĘCZNIE CZERPANYM PAPIERZE MIRKOWSKIM

POWIEŚĆ O UDAŁYM WALGIERZU

WYDANIE ILUSTROWANE W OGRANICZONEJ LICZBIE EGZEMPLARZY, OZDOBIONE
CAŁOSTRONICOWEMI RYSUNKAMI, WINIETAMI ORAZ INICJALAMI
ZYGmunTA KAMIŃSKIEGO

LE ROMAN DE WALGOUR

FRANCUSKI PRZEKŁAD «POWIEŚCI O UDAŁYM WALGIERZU»
W IDENTYCZNEM WYDANIU W 150 EGZEMPLARZACH
NA RĘCZNIE CZERPANYM PAPIERZE MIRKOWSKIM

PUSZCZA JODŁOWA

WYDANIE WYTWORNE NA RĘCZNIE CZERPANYM PAPIERZE MIRKOWSKIM
W OGRANICZONEJ LICZBIE EGZEMPLARZY

MIĘDZYMORZE

WYDANIE OZDOBNE W WIĘKSZYM FORMACIE

W PRZYGOTOWANIU

POPIOŁY

WYDANIE ILUSTROWANE W OGRANICZONEJ LICZBIE EGZEMPLARZY, OZDOBIONE
BARWNEMI PLANSZAMI MICHAŁA BORUCIŃSKIEGO ORAZ JEDNOBARWNEMI
CAŁOSTRONICOWEMI RYSUNKAMI I WINIETAMI EDWARDA BARTEOMIEJCZYKA

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

2

2

428



BIBLIOTEKA PUBLICZNA
im. JANA ZAMOYSKIEGO
w Zamościu.

428

Księgozbiór BP



10085059

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

